



Po zjeździe regionalistów

## Federacja niecierpliwych

**Z**JAZD towarzystw regionalnych i społeczno-kulturalnych Lubelszczyzny, który odbywał się w Nałęczowie 3 i 4 kwietnia, zgromadził w pałacu Malachowskich kilkaset osób. Byli to ludzie starsi, dojrzały, nierzadko szczególnie zasłużeni dla lubelskiego regionalizmu, od lat przedwojennych związani z tym ruchem głęboko i raz na zawsze.

Aktywni w dyskusji, chętnie wracali pamięcią do odległych czasów, kiedy to w wyczerpujących wędrówkach po lubelskiej krainie ratowali od zapomnienia stroje ludowe, pieśni, gawędy, to wszystko, co pozostawiła po sobie historia, co wydawał żywy jeszcze wówczas folklor. Apelowali o większą opiekę nad amatorskim ruchem artystycznym, proponując — jeśli dobrze zrozumiano emocją dyktowane słowa — organizację ośrodka dokumentacji folkloru oraz wprowadzenie do szkół nauki pieśni na „nutę podlaską”. Nade wszystko zaś deklarowali swoją miłość do regionu, odmieniając to słowo w różnych przypadkach, co akcentujemy nie tylko ze względów kronikarskich. Z żarliwością, posuniętą aż do ornamentacji frazeologicznej, mówili o patriotyzmie, o polskości, o tym, że chłop leżący na łożu śmierci chce mieć przy boku swoją wysłużoną sukmankę. Niestety — ubolewali — gwara zanika, niszczy ją język ogólnonarodowy, chrońmy zatem relikty... Zdawało się, że przez pałacową salę przelatuje na swym szerokoekrydłym kapeluszu sam mistrz Łopaciński, z książką w jednej dłoni, z siatką na motyle w drugiej — niemal na wzór konterfektu przekazanego niegdyś „Kamieniu” przez Kazimierza Jan-czykowskiego, szczerego miłośnika regionu chełmskiego. A mamy właśnie rok 1971.

Mamy zatem rok 1971, a w klasycystycznym pałacu, na wojewódzkim zjeździe przedstawicieli towarzystw regionalnych, ludzi młodych, przed trzydziestką, można policzyć na palcach. Nikogo to już nie dziwi, do tej nieobecności młodszego pokolenia w działalności stowarzyszeń przyzwyczajeni jesteśmy doświadczeniami ostatnich kilkunastu lat. Na zjeździe w Nałęczowie zabrakło również zaproszonych przedstawicieli organizacji młodzieżowych — co zauważyli tylko nieliczni.

W materiałach zjazdowych, przygotowanych przez Wydział Kultury Prezydium WRN, znalazł się komunikat Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łukowskiej poświęcony „Współdziałaniu młodzieży z ruchem regionalnym i stowarzyszeniem społeczno-kulturalnym”. Jego treść ma charakter intencjonalny, niemal wyłącznie postulatowy, miejscami zaś nieco „zawily”. Towarzystwo stwierdza, że w zakresie wypracowanych form i środków współdziałania z młodzieżą zanotować możemy niemałe sukcesy, po czym zauważa: kierunki wynikające z programu działalności Towarzystwa nie zawsze jednak znajdowały trwałe miejsce w programach działalności organizacji młodzieżowych, a dotychczasowa współpraca z młodzieżą ograniczała się z tego powodu do doraźnych akcji okazjonalnych.

Nie ludźmy się, ta sytuacja nie ulegnie zmianie dopóty, dopóki stowarzyszenia regionalne nie uruchomią takich form aktywności, które zawierają choć obłędnie spełnienia ambicji i aspiracji ludzi młodych, wychowanych w warunkach społecznych, politycznych i ogólnocywilizacyjnych zdecydowanie odmiennych od tych, które kształtowały świadomość pokolenia zbliżającego się dziś do pięćdziesiątki. Expressis verbis wyraził tę opinię młody fotografik zamojski, kojarzący profil współczesnego regionalizmu lubelskiego z wiekiem XIX. Na pewno sporo w tym przesady, lecz nie próbujmy mierzyć jej stopnia, bo mocno sformułowana charakterystyka ujawnia coś daleko ważniejszego, a mianowicie stosunek młodszej generacji do regionalizmu jako idei w jej oczach niejako z góry staroswieckiej, niezdolnej do rozbudzenia wyobraźni i oferującej towar z przeceny.

Dokończenie na str. 6-7



Stożce — wieża obronna z XIII wieku ongiś związana z systemem obronnym Chełma.

Fot. A. Polakowski

## Skąd brać te miliardy?

Jerzy Dostałni

## Jak żyją młodzi nauczyciele

Wojciech Kurhan

## Bohater nieupożowany Gombrowicza

Andrzej W. Pawluczuk

Dyskutujemy odważnie i rozważnie

# ODPOWIEDZIALNOŚĆ SPOŁECZNA

Jerzy Blaim

**Z**UCHWAŁ VII i VIII Plenum wypływa podstawowy wniosek, że nadrzędnym celem socjalistycznej ekonomiki jest stała poprawa warunków życia społecznego. Jest sprawą nowego kierownictwa partyjnego ugruntowanie takiego stylu i metod pracy politycznej i gospodarczej na co dzień, aby ogólnokrajowy wysiłek twórczy był spożytkowany w stopniu maksymalnym, ku zadowoleniu wszystkich ludzi pracy.

Jednakże wielką naiwnością byłoby przeświadczenie, że wzrost dochodu narodowego, a tym samym wzrost spożycia, zapewnią same chociażby najlepsze, plany rozwoju gospodarki narodowej, że najbardziej racjonalne decyzje kierownictwa zastąpią zwykłą, codzienną, systematyczną pracę każdego z nas. Na wzrost produkcji społecznej składa się wysiłek tysięcy wielkich i małych zakładów pracy. Inaczej mówiąc — tylko to, co zostanie wypracowane, może stanowić przedmiot podziału.

Stąd też, w aktualnej sytuacji ekonomicznej kraju, szczególnego znaczenia nabiera rzeczywisty efekt działalności ekonomicznej każdego przedsiębiorstwa, a wszelka nieudolność, brakrobstwo czy niedbalstwo utrudnia lub wprost opóźnia uzyskanie powszechnego wzrostu stopy życiowej. Na nie nie zdadzą się więc wszelkie deliberacje czy mędrkowanie, prawda jest tylko jedna: będziemy mieli tyle, ile sami zdołamy sobie wypracować. Poza pracą wydajną, upartą i konsekwentną, sprawnie i rozumnie kierowaną — nie ma innej drogi do zbiorowej pomyślności, dynamicznego rozwoju naszej gospodarki oraz trwałej równowagi społecznej. Najłatwiej, chociaż najmniej owocnie, można poszukiwać przyczyn wszelkiego typu niepowodzeń „u góry”. O ileż słuszniej i konkretniej jest szukać przyczyn niepowodzeń i błędów we własnym gospodarstwie.

A ilu jest u nas i takich, których można by określić mianem „Besserwisser” (wiedzący wszystko najlepiej), a nie widzących własnej nie-

udolności, niedbalstwa czy wręcz głupoty? Dialog partii ze społeczeństwem to sprawa ważna, nawet bardzo ważna, ale nie mniej ważny jest dialog społeczeństwa ze sobą samym. Jeśli nie tylko od święta, ale zwyczajnie, na co dzień, nie potrafimy uruchomić i zachować wspólnej więzi i wspólnej odpowiedzialności na każdym miejscu i stanowisku pracy, to rozdźwięk między słowem a czynem będzie nieuchronną tego konsekwencją.

Mechanizm gospodarki narodowej w państwie socjalistycznym przypomina maszynę wielkiego, skomplikowanego zegara. Od jakości pracy poszczególnych, najdrobniejszych nawet części maszyny, zależy ogólna precyzja i dokładność pracy całego urządzenia. Wszęchność i wszechobecność ekonomiki w naszym społeczeństwie świadczy o jej sile i perspektywach rozwoju, ale dowodzi również, że jej pełna kontrola nie jest możliwa za pośrednictwem żadnego apa-

Dokończenie na str. 3

Aleksander Migo

## Książę

A mógłbyś, panie, sprostać plecóm swoim Kryza łopocze pod wezbraną grdyką, Amaran, bławat — też to nie pacierze, nie szmer korali i nie krągłość berla.

A przecie galer nie wystąpił w morze, siedzisz samotny — góra cię osłania. Oliwne liście powtarzają skrycie, że na policzkach różu ci przybyła.

W wąwóz wpatrzony — tam kamienie gwarzą, rzucasz im wstążkę wyczynom gestem taki łagodny i przytomny w śpiewie.

A struny milczą, brak im sposobności. Zagrały trąby — lud na festyn zwołać. A mógłbyś, panie, sprostać plecóm swoim...

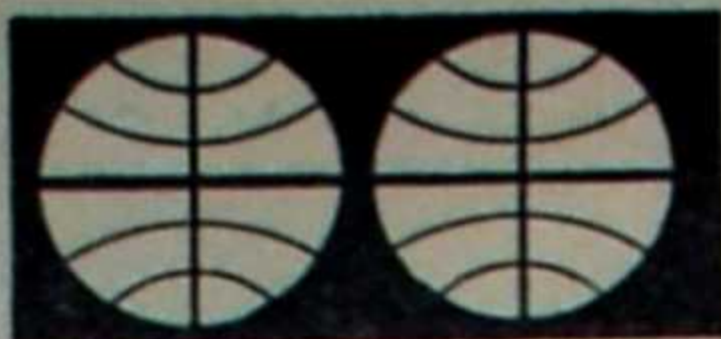
I nie pytajcie z pochylem głowy. Ziemia pod stopą jeszcze zdąży szczerzyć. Przez sito dłoni milczkiem spłyną trawy. Zanim dojdziecie, nie pytajcie nigdy.

W zakrzepły obraz pierzchojącej sadzy wkradnie się lekko ptak złocistooki. Kwiat umknie liściom, komień się zasklepi gdy ogień dymem będzie skarżył księgi.

W ogień wrańniecie — tradycyjni święci, w jaką mgławicę obrócić kroki. Pod dłońmi niebo — pierwsza warstwa strachu i pierwszy oddech — pierwsza warstwa śmierci.

Ręk nie utrzymasz w dobrej świadomości żeś swe sumienie w złotym zamknął kregu. Zenitem będzie ledwie gruda ziemi i ołtarz złoty — zawsze to coś znaczy.

Lublin



Szolochow o problemach literatury radzieckiej

Zmarli

51-letni Zbigniew Drzewiecki, profesor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie...

57-letni światowej sławy kompozytor, dyrygent i pianista Igor Strawinski. Urodził się w Oranienburgu...

Literatura

W siedzibie ZLP w Warszawie podpisano porozumienie o współpracy na lata 1971 i 1972 pomiędzy ZLP a Związkiem Pisarzy Słowackich...

W dniach 1-3 maja odbyła się w Poznaniu licząca impreza kulturalna, związana z 50-leciem Oddziału Poznańskiego Związku Literatów Polskich...

W dniach 14-18 maja w ramach Łódzkiej Wiosny Artystycznej odbędzie się VI Ogólnopolski Festiwal Poezji poświęcony z konkursami...

W roku 1969 opublikowano w Polsce około 100 zbiorów poetyckich oraz 11 wyborów wierszy poetów żyjących i niedawno zmarłych...

W Rumuni ukazal się pierwszy numer czasopisma „Manuscriptum”, poświęconego publikowaniu nie znanych dotąd szerokiemu ogółowi utworów...

Szkoty brytyjskie - jak stwierdza specjalna komisja - nie wychowują milionników książek. Po opuszczeniu szkoły 68 proc. młodzieży w ciągu najbliższych dwóch lat przestaje czytać literaturę...

Teatr

Trzynasty Festiwal Teatrów Polski Północnej odbędzie się w Toruniu w połowie czerwca. Projekcją się przedstawią w plenerze oraz objazdy po scenach teatrów tego regionu...

Teatr im. W. Sienkowskiej w Rzeszowie wystawił utwor „Z tej ziemi”. Są to udrامatyzowane opowieści i reportaże o zmianach na Rzeszowszczyźnie...

Warszawski Teatr Współczesny wystawił na scenie przy ul. Czackiego „Lekomyślna siostra” Włodzimierza Przeworskiego w reżyserii Andrzeja Łapickiego...

Na scenie Kameralnej Teatru Starego w Krakowie odbyła się prapremiera dramatu scenicznego „Zegna Judasz” Ireneusza Iredyńskiego...

Kazimierz Dejmek przygotowuje trzy sztuki na scenach zagranicznych. W Wiedniu będzie reżyserował „Triumf śmierci” Innesco, w Dusseldorfie „Laznik” i „Pluskwę” Majakowskiego...

W Zurichu odbyła się premiera „Matki” St. L. Witkiewicza w reżyserii Jerzego Markuszewskiego...

Sztuka

W Muzeum Piakatu w Wilanowie otwarto wystawę renowacyjnego plakatu kubafskiego, obejmującą 55 prac...

Zespół Pieśni i Tańca „Kraświancy” obchodził 20-letnie istnienia. W tym czasie dał on 1500 występów dla 3 milionów widzów w 3 krajach...

Obywatelski Komitet Odbudowy Zamku w Warszawie otrzymał od osób prywatnych i instytucji ponad 500 zgłoszeń, wyrażających deklarację wykonania w czynie społecznym różnych prac związanych z odbudową Zamku...

W dziedzinie Wedding w Berlinie odbyła się wystawa 100 prac graficznych polskich artystów, głównie młodego pokolenia, a także kilkunastu gobelinów, wykonanych przez 3 artystów...

Medalia francuska wybiła medale, poświęcone znanej parze pisarzy - zmarłej w ub. roku Elsie Triolet i jej małżonkowi Louisowi Aragonowi...

Jedno z muzeów amerykańskich otrzymało od Picassa dar w postaci jego rzeźby z 1911 roku - „Głowa”. Jak dotychczas żadne inne muzeum nie posiada rzeźb tego twórcy a z osób prywatnych tylko kilka. Rzeźbę przechowywał sam artysta...

Zmarły niedawno znany malarz amerykański Edward Hooper pozostawił 1500 płócien olejnych, akwarel, rysunków i szkiców, które legował Muzeum Sztuki Amerykańskiej w Whitney...

57-letni Wally Jezek, Ivoon Roberto-Jones rzeźbił w brzoje pomnik Chocchilla, który ma stanąć przed gmachem londyńskiego parlamentu. Artysta wykonał swoje dzieło na podstawie 2 fotografii, osobistej nigdy nie widział Chocchilla...

Muzyka

W Warszawie odbył się VI walny zjazd delegatów Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków. Podsumowano m. in., że są już daleko posunięte prace nad projektem ustawy o ochronie praw nad projektami muzyki wirtuozów...

W Krakowie odbyła się europejska konferencja „Kosmogonia” K. Penderrekelega. W czerwcu nastąpił praktycznie „Zmarłych wstanie”. Kom-

pozytor pracuje obecnie nad ukoronowaniem tego utworu, który stanowi II część „Jutrzenki”.

Opera Poznańska wystawiła premierę „Wesołych kumoszek z Windsoru” Otta Nikodima pod kierownictwem muzycznym M. Nowakowskiego i w reżyserii K. Kordzińskiego.

Jednym z konferansjerów na IX Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu będzie tenor polskiego piosenkarstwa - Mieczysław Furg. Przywrócony zostanie dawny maraton kabaretowy pod nazwą „Festiwalowy kabaret piosenki”.

Sofiana Wętyłowicz, Krystyna Saszek-Radkówna i Andrzej Hosiński wystąpili w „Statu Maier” Szymanowskiego w duńskiej miejscowości Odense.

Po siedmiu latach przybył do Polski znany w świecie zespół radziecki Moisiejewa. Jest to czwarty jego pobyt w naszym kraju.

Środowiska muzyczne w ZSRR przygotowują się do obchodów 50 rocznicy urodzin zmarłego w 1921 roku znakomitego kompozytora radzieckiego Siergieja Prokofiewa.

W operze hamburskiej odbyła się prapremiera mimodramy, opartej na „Kandydzie” Woltera. Mimo trudnej treści filozoficznej „Kandyda” spektakl oceniono jako udany i ciekawy. Reżyserował Rolf Liebermann, muzykę napisał Marius Constant.

Mimo protestów ludności wyspy Wight w sierpniu ma odbyć się tam kolejny festiwal „Pop”. W roku ub. zakochywał się on deficytem 20 tys. funtów oraz różnymi ekcesami. Protest przeciwko jego realizacji wypłynął już do Izby Gmin.

Film

Na ogólnopolski konkurs na plakat filmowy 53 autorów nadeszło 88 prac. Dwie pierwsze nagrody otrzymał: Anna Ziolo i Mirosław Woźnica, oboje z Łodzi.

W roku ub. zrealizowano w ZSRR 124 pełnometrażowych filmów fabularnych, 414 dokumentalnych, 131 popularnonaukowych i 11 dla dzieci.

Jeden z najwybitniejszych reżyserów radzieckich Marek Donicki obchodził 79 rocznicę urodzin. Przygotowuje się do nakręcenia filmu o Fiodorze Szalapie.

Z udziałem królowej i księżniczki Anny odbyła się w Londynie prapremiera nowego utworu Luciano Viscontiego „Śmierć w Wenecji”, opartego na opowiadaniu Tomasza Manna. Zdaniem recenzentów „film oddaje coś z atmosfery pisarskiej Manna”.

Różne

Jak wynika z ostatnich sondaży, normalnego programu telewizji kolorowej możemy spodziewać się dopiero gdzieś w połowie 1972 roku. Poważną przeszkodą w jej uowspiecznieniu będzie początkowo stosunkowo wysoki koszt odbiorników, które na całym świecie kosztują 4-5 razy drożej niż odbiorniki telewizji czarno-białe.

XVI Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie odbędzie się w dniach 16-21 maja. Udział swój zgłosiło 212 wydawców zagranicznych, w tym 81 z krajów specjalistycznych.

NA zakończonym niedawno XXIV Zjeździe KPZR wygłosił m. in. przemówienie Michaił Szolochow, delegat z ramienia rostowskiej organizacji partyjnej. Oto fragmenty jego wystąpienia.

„[...] Można bez fałszywej skromności stwierdzić, że uczyniliśmy bardzo wiele w dziedzinie redukcji człowieka, wpływając szeroko na jego przebudzenie duchowe i rozwój. Jest rzeczą powszechnie uznaną, że nasza literatura jest najbardziej ideową literaturą. Wymiećcie, proszę, kraj, którego literatura mogłaby pod tym względem rywalizować z naszą! Można śmiało stwierdzić, że nie ma na świecie takiego kraju i nie ma takiej literatury!”

O bojowej roli radzieckiej literatury i sztuki w światowym procesie rozwoju kultury artystycznej decyduje przede wszystkim ładunek komunistycznej ideowości i partyjności, który cechuje najlepsze dzieła naszych twórców. Mówiac otwarcie, właśnie to budzi zażądła wśród naszych wrogów ideologicznych i ich pomagierów - rewizjonistów. Pragnęliby oni namówić nas, abymy zeszli z wyraźnych pozycji zdeklarowanych bojowników o socjalizm i komunizm, abymy przerygnęli z partyjności i ludowości jako kardynalnych zasad twórczości artystycznej.

Szczególną gorliwość w obalaniu realizmu socjalistycznego wykazuje były komunist austriacki, Fischer. Ten uznany specjalista od „absolutnej”, niczym nie ograniczonej, swobody twórczości bardzo skrupulatnie rzuca kłuty na naszą sztukę radziecką. Fischer obłudnie ubolewa nad „spętaniem” i „zwerbowaniem” twórczością artystyczną w ZSRR. Jakby to było piękne - powiada - gdyby udało się „uwolnić z peł” i „wywolić” tę twórczość z partyjności, z wysokich obowiązków służenia społeczeństwu!

Słowo „Fischer” oznacza po niemiecku „rybak”. I to ten rybak i inni zagraniczni rybacy usiłują zrzucić wędkę z chuchnacza przynęta. Licząc, że ufa im się słowić możliwie jak najwięcej prostodusznych karasi w mętnej wodzie tzw. realizmu bez brzegów.

Niewiele jest w naszym kraju tych łatwowiernych karasi, toteż chytry rybacy nie mogą poszczycić się u nas bogatym połowem.

„[...] Ale cóż już, abymy w warunkach niebywale zaostrzonej walki ideologicznej przeszli do bardziej zdecydowanej ofensywy i przeciwstawili wysiłkom renegatów i rewizjonistów o najrozmaitszym zabarwieniu naszą niezawodną broń - leninowską nieprzemijającą prawdę! I właśnie to uważamy za swe pierwszoplanowe zadanie.

Wszystko, co powiedziałem na początku, nie miało na celu wynoszenia pod niebiosa naszych sukcesów literackich. Gdyby nie było partii, która zgromadziła nas na tym zjeździe, nie byłoby również sukcesów naszej literatury, nie byłoby nawet samej literatury radzieckiej.

„[...] Jak przedstawia się sytuacja na naszym literackim podwórku? Nie będziemy mówić o tych literatach, którzy zasługują na powszechną pogardę. Nie mówię o ludziach, którymi się gardzi. Zbyt wiele zaszczytu. Pomówmy o tych, którzy są godni wnikliwej uwagi, pomówmy o naszych sprawach.

Sekretarz moskiewskiej organizacji pisarzy, Sergiusz Narowczatow, powiedział niedawno na moskiewskiej miejskiej konferencji partyjnej, że wśród nas, pisarzy, niewiele jest snajperów, sporo jest natomiast woroszyłowskich strzelców, którzy stanowią trzon organizacji. Tak! Był mniej więcej sens jego trafnej analogii poetyckiej. Ale Narowczatow

nie powiedział, że wśród strzelców znajduje się sporo licza takich, którzy nie tylko nie trafiają w „dziesiątkę”, ale w ogóle nie trafiają do tarczy... Sytuacja byłaby jeszcze do zniesienia, gdyby niefortunni strzelcy strzelali jak najrzadziej i nie ostrymi nabojami. Ale, niestety, dość często daremnie trwoni się drogie naboje, a straty, niekiedy dość znaczne, ponosi przede wszystkim nasz czytelnik. Spróbujcie jednak usunąć takiego strzelca ze strzelnicy. Odpowiedzcie mi, że jest obłudnym strzelcem, że następnym razem trafi na pewno w „dziesiątkę”. Ale ani mu w głowie, bo przecież nawet bez udziału strzałow żyje mu się wymyślenie. W każdym razie nie gorzej niż kotu, który znalazł sobie przytulne miejsce w kuchni restauracyjnej.

Jak uwolnić się od tej plagii? Sądzę, że trzeba wydatnie zwiększać wymagania ze strony redaktorów wydawnictw i czasopism, i to nie tylko obwodowych, lecz również stołecznych. Kto jak kto, ale pracownik wydawnictwa lub czasopisma powinien być pierwszą tamą na drodze złej książki. Krytyka literacka powinna zerwać z orakłyką przemilczenia, gdy ma do czynienia ze złym utworem literackim. Bezpośredni obowiązek krytyki literackiej polega na tym, aby zanalizować i ocenić utwór zgodnie z jego prawdziwą wartością.

„[...] W naszym kraju wyrasta utalentowana młodzież literacka. Starsze pokolenie pisarzy wiąże z nią duże nadzieje. Można stwierdzić, że do literatury napłynął i napływa dobry narybek. Cieszymy się, że paleczkę przejmują twórcy, którzy są potrzebni naszemu społeczeństwu. Są to ludzie interesujący, myślący kategoriami patriotycznymi, wnikliwie obserwujący życie.

Niekiedy młodzież jest zadziękista i dość ostra w swych ocenach takich czy innych zjawisk. Ale jedna rzecz jest wartościowa: młodzież ta nie jest obojętna, jest ciekawa życia i wciąż szuka nowych dróg. Niekiedy brak jej doświadczenia. Ale właśnie ona, nasza młodzież pisarska, jest przyszłością naszej literatury, to ona będzie tę przyszłość tworzyć, to ona będzie za nią odpowiadać.

Zrozumiecie chyba, że nie dziełem tu naszej młodzieży twórczej na „czystych” i „nieczystych” mównic prosto o całej młodzieży. Mówię o naszym narybku pisarskim, o świętych siłach w literaturze radzieckiej.

Proszę jednak uwzględnić pewną okoliczność: my, pisarze starszego pokolenia, też jeszcze jesteśmy czegoś warte. Jak wam wiadomo, wszyscy pisarze, podobnie jak pozostali obywatele wielkiego Związku Radzieckiego, znajdują się w ewidencji wojskowej. Jeżeli towarzysze Greczko i Jepsiew nie przenoszą pisarzy starszego pokolenia z rezerwy w stan spoczynku, to znaczy, że mają w tym jakiś gospodarski rachunek, liczą, że jeszcze się przydamy, że można polegać na nas w każdym przypadku życiowym i we wszelkich okolicznościach. Czy nie stanowi to bardzo pochlebnego dla nas dowodu, że jesteśmy potrzebni nie tylko w pracy, lecz również w obronie?

Zastanawiając się nad nową pięcioletką, nie potrafię - jak sami rozumiecie - wyrazić się językiem liczb i procentów. Gdybyście zapytali mnie, ile w tym okresie wyjdzie powożnych utworów, ile miernych, i ile złych, to i na to pytanie nie mógłbym wam odpowiedzieć. Ale nie tylko ja tego nie potrafię, odpowiedzi nie potrafiłby udzielić nawet cały sekretariat Związku Pisarzy.

Zresztą nie chodzi o ilość, lecz o jakość. My, wszyscy pisarze radzieccy, jesteśmy najgłębiej przekonani, że w ciągu najbliższych lat stworzymy poważne dzieła, znajdujące się na wysokim poziomie ideowo-artystycznym i całkowicie odpowiadające zwiększonym wymaganiom naszych czytelników.

Pragnę was zapewnić, że rejonijmą tego jest nasza wierność sprawie partii i narodu, nasze gorące pragnienie, by oddać wszystkie swe siły i zdolności w służbę wielkiemu ideałom komunizmu”.



Jubileusz Łesi Ukrainki

UKRAIŃSKIE czasopismo literackie, szczególnie z lat 60-tych, wiele miejsca poświęca wybitnej poetce Łesi Ukraince, której setną rocznicę urodzin obchodzono z należytą uwagą...

UNESCO. W 2 numerze lwowskiego miesięcznika „Zowet” umieszczono i wierszy współczesnych poetów, poświęconych Łesi Ukraince, a także opowiadanie oparte na jej życiu i twórczości. Umieszczono tu również inne materiały o charakterze historycznym i obrazującym poetyckość jej utworów w świecie. O Wotynie, kraju lat dziecięcych i młodzieńczych Łesi Ukrainki, pisał P. Inbulski i T. Myhal. O angielskich przekładach utworów poetyki z rzetelną ieb analizą informuje W. Bereszyński. Dalejże artykule mówią o popularności utworów ukraińskich: pisarki na Węgrzech, w Grecji, w Włoszech, Francji, Niemczech itd. Są to głównie analizy i przeglądy tłumaczeń jej utworów.

Inne materiały w tymże „Zawleciu” informują, że w tymże roku w Odesie i w Lwowie. Tu też przytoczono krótkie, szkolne bardzo treściwe wypowiedzi Rosjanki Marii Komisarowej, Jugosłowanki Deszki Maksimowej, Egipcjanki Ajazy Abdel Roman, Białorusinki Łarysy Henjus, Łotyszki Winy Helenewicy oraz Ormianki Siliwy Kaputokian, poetek różnych narodowości, o twórczości Łesi Ukrainki i jej znaczeniu dla nich samych.

Interesujące materiały umieściły również inne czasopisma ukraińskie m. in. „Witczyna”, „Literatura Ukrainy”, „Dniro” itp.

Łesia Ukrainka (pseudonim literacki Łarysy Komar-Kwikki) była w pewien sposób związana z literaturą i kulturą polską. W jej bibliotece prywatnej znajdowało się sporo książek polskich. Szczególnie związana ona była duchowo z twórczością takich poetek, jak A. Mickiewicz i M. Konopnicka, których wiersze próbowała tłumaczyć na język ukraiński i rosyjski. Na jej szkice utworów miały wpływ wiersze A. Mickiewicza, „Trydion” Z. Krasińskiego był, jak twierdził literaturoznawca, bodźcem do napisania dramatu „Orgia”. Pisała też artykuły o wydziesięjnej jej literaturze polskiej. Są to fakty na ogół znane, ale niezapamiętane jeszcze czytelnikami do końca.

Dobrze się wie, że Komitet Stowarzyszeniowy PAN zorganizował w dniu 28 marca b.r. w Krakowie sesję naukową poświęconą twórczości Łesi Ukrainki. Wygłoszone tam przez ukraińskich polskich referaty zostaną ukro-

nie opublikowane, wzbogacając znacząco naszą wiedzę o znakomitej poetce ukraińskiej, a także o powiązaniach jej twórczości z literaturą polską. Na spój tej wygłoszonej referaty o ideach promieniowania w twórczości Łesi Ukrainki (doc. dr F. Niewużny) i o jej twórczości na jej epoki (dr S. Kowak), dr poetyce wierszy Łesi Ukrainki (doc. dr M. Jankowski) i o jej życiu (doc. dr M. Jankowski). W dość obszernym druku opublikował go Instytut Literacki w Paryżu, który w tymże roku w Warszawie wydał w Polsce jego dzieło i że najbliższy jesienną wiele zbadać w dziedzinie jej powiązań z literaturą i kulturą polską.

W Lublinie zastaliśmy obdarzonych przez wołyńskich przyjaciół wystawę poświęconą życiu i twórczości Łesi Ukrainki. W uroczystym otwarciu tej wystawy brał udział gość z Wołynia, który przedstawił nam wiersze i szkice wybitnej poetki. Po wystawie opowiadano o literaturze i kulturze polskiej. Dyrektor muzeum poezji w Kaniowie, Władysław Jankowski, który w Krakowie w dniu 28 marca b.r. w Krakowie sesję naukową poświęconą twórczości Łesi Ukrainki. Wygłoszone tam przez ukraińskich polskich referaty zostaną ukro-

# ODPOWIEDZIALNOŚĆ SPOŁECZNA

Dokończenie ze str. 1

ratu państwowego, że taka kontrola spoczywa wyłącznie w rękach samego społeczeństwa. I jest w tym sens i prawidłowość rozwoju nowoczesnego ustroju, w którym każdy obywatel jest po trochu wszystkim: producentem i konsumentem, pracodawcą i pracownikiem, kontrolującym i kontrolowanym, rządzącym i rządzonym.

Zarządzaj obszerne i chętnie, najczelniej zresztą słusznie, plasuj się u nas w ludziach, którzy pracują dobrze, wyrażają się inicjatywnie lub legitymują poważnymi osiągnięciami. Znaczenie rzadziej, nieśmiało, ogólnie lub wręcz wstydliwie plasuj się natomiast u tych, którzy szkoda społeczeństwu lub żyją na jego koszt. Tych pierwszych wymieniam się z imienia i nazwiska, a nawet zamieszczam ich fotografie, tych drugich prezentuję się wyłącznie anonimowo lub ukrywam pod dyskretnymi skrótami.

A właściwie dlaczego? Takie postępowanie jest uzasadnione tylko wówczas, gdy przedmiotem informacji jest osobiste życie obywatela X lub jego sprawy prywatne. Natomiast wszystko to, co obywatel X udziela jako osoba publiczna (dyrektor, kierownik, majster, referent czy brygadziści) na niekorzyść społeczeństwa, jest własnością opinii publicznej i podlega jej osądowi. I to niezależnie od tego, czy i jakie wnioski służbowe, partyjne, a nawet karne spotykają tegoż obywatela X. O tym, że taka informacja musi być odpowiedzialna i prawdziwa, nie trzeba się długo rozwodzić, bowiem każda informacja, która ukazuje się publicznie, powinna odpowiadać tym podstawowym wymogom.

Dlatego też zmiany zachodzące w naszym społeczeństwie nie będą nigdy zupełne i gruntowne, o ile ograniczą się one do modyfikacji form i metod zarządzania, pozostawiając na uboczu kształtowanie we własnym zakresie obywatelskich postaw zdyscyplinowanego wypełniania swoich obowiązków i upor-

czywego domagania się, aby wszyscy bez wyjątku swe obowiązki należycie wypełniali. Do świadomości każdego obywatela powinno dotrzeć przekonanie, że za wykonanie dobrej roboty na konkretnym stanowisku ponosi odpowiedzialność wyłącznie sam i żaden kolektyw tej odpowiedzialności nie jest w stanie rozmyć. Praca z kolektywem jest tylko pomocą w poszukiwaniu i podejmowaniu najsluszniejszych, najbardziej racjonalnej decyzji, rozwiązania konkretnego problemu — nie stanowi natomiast w żadnym wypadku swoistego odgromnika lub polisy ubezpieczeniowej.

Problemy nurtujące nasze społeczeństwo nie są wcale nowe ani oryginalne. Niektóre kraje obozu socjalistycznego zetknęły się z nimi już znacznie wcześniej. Trudny dyalemat powiazał między kierownictwem politycznym a kierownictwem państwowym na wszystkich szczeblach, sensowna rotacja kadr na kierowniczych stanowis-

kach, właściwe pojmowanie centralizmu demokratycznego, zachowanie kierowniczej roli partii przy równoczesnym pogłębianiu socjalistycznej demokracji — są to wszystkie sprawy, na które wcale nie mamy monopolu. Wspomniał o nich między innymi tow. Kadar na Węgrzech, mówiąc: *Mamy w społeczeństwie i mieć będziemy tylko jedną siłę kierowniczą — robotniczą partię, ale pracować musimy tak, jakbyśmy mieli ich dziesięć i tajne głosowanie na co dzień.*

Generalnie rzecz biorąc, nie ma takich spraw, których rozwiązanie nie zostało przewidziane w założeniach ideologicznych. Powstawaniu szczelin pomiędzy władzą a obywatelami, aparatem partyjnym a partią, zapobiega i skutecznie przeciwdziała mechanizm dobrze pojętej krytyki. Tylko stosunek do krytyki, zwłaszcza stosunek do krytyki przedstawicieli wszelkiej władzy, tworzy klimat ludowladztwa. I rzecz nie w tym, że ten czy ów zły przedstawiciel władzy tłum lub zwalcza krytykę, ale w uległości osób, które takiej krytyki nie podejmują, chociaż mogły i powinny ją podjąć. Które cenią sobie bardziej doraźne, indywidualne korzyści płynące z milczenia, niż trwałe społeczne korzyści płynące ze słusznego wytykania i usuwania błędów. Taki wniosek wypływa stąd, że w rzeczywistości nie ma i być nie może żadnego mitycznego podziału na władzę (państwo) i obywateli, że świadomość i poczucie społecz-

nej odpowiedzialności przedstawicieli władzy nie będzie w sumie ani lepsze ani gorsze od świadomości i odpowiedzialności społeczeństwa, z którego pochodzi i którego integralną część stanowią. Klimat więzi partii ze społeczeństwem wyznacza ją w rzeczywistości stosunki panujące w podstawowych organizacjach partyjnych. Postępowanie poszczególnego członka partii jest najlepszym sprawdzianem prawd głoszonych i prawd realizowanych.

W ciągu dwudziestolecia przysłało nam przeszło dwukrotnie proces odnowy. Chyba to dobrze, że proces odnowy, którego jesteśmy obecnie świadkami, przebiega w atmosferze powagi i spokoju. Mniej świątecznego entuzjazmu i wietowania, więcej realizmu i pracy. Wyłączenie od nas samych zalety, czy i w jakim stopniu zdamy sobie z tego procesu trwałe obowiązujące zasady.

Sila kolektywu i przeświadczenie o jego własnej wartości, zdolność do poświęceń własnych, indywidualnych interesów w imię dobra ogólnego, stanowią skuteczną zapórę dla wszelkiego rodzaju wynaturzeń. W każdym bez wyjątku zakładzie pracy jest miejsce i sposobność do odegrania roli współgospodarza i współzarządzającego. W możliwościach każdego obywatela leży przeciwstawianie się biurokracjonalnej degeneracji nie przez głoszenie samych hasel, lecz przez zadokumentowanie współodpowiedzialności za pomyślny rozwój kraju i narodu — czynem.

Jerzy Blaim

# SZLACHETNIE ZAMELDOWANI

Marianna Hanuszkiewiczowa

**N**A konferencji stołeczno-Nienormalne jest, że młody członek organizacji partyjnej zapowiedziano rozluźnienie ograniczeń meldunkowych dla osób chcących się osiedlić w Warszawie. Oznacza to, iż pozbedziemy się wreszcie tego nonsensownego i społecznie nieuzasadnionego dziwołaga, jakim są ograniczenia.

Konstytucja PRL zapewnia wszystkim obywatelom równe prawa, bez względu na przekonania polityczne, wyznanie, urodzenie, stan majątkowy i miejsce zamieszkania. A więc i prawo do swobodnego wyboru miejsca zamieszkania od Buga do Odry. Zdają sobie sprawę, że dziś, po latach funkcjonowania tego zakazu, powstało z jego powodu tyle napięć, że należy je rozładowywać powoli, spokojnie. Toteż rozumiemy, że i zakaz nie może być uchylony całkowicie od zaraz, wyzwoliłoby to bowiem lawinę trudną do opłowania przez odpowiedzialne za te sprawy urzędy. Jednakże należy mieć jasny obraz nieprawidłowości i choć stopniowo, to systematycznie usuwać je.

Nienormalne jest przecież, że czytamy w prasie ogłoszenia o wolnych posadach w Warszawie, na które z miejsca zaangażuje się pracowników, pod warunkiem, iż będą na stałe zameldowani w stolicy.

Pomijam już fakt, że warszawskie zakłady pracy mają kłopoty z obsadzeniem wolnych etatów, zaś wskaźniki demograficzne stolicy są bardzo kiepskie, cechują je nie przyrost, lecz ubytek naturalny. Bez dopływu ludzi z zewnątrz, liczba mieszkańców stolicy kurczyłaby się z roku na rok. Ale czy nikt nie zastanowił się nad tym, że przecież ci ludzie, którzy pechają się do zagęszczenia warszawskiego bruku, tym samym rozgłaszają bruk i tłuć w innych miastach i miasteczkach? I jeśli chcą osiedlić się w Warszawie, placąc drogie pieniądze za pokój sublokatorski wynajęty nielegalnie (bo ograniczenia obejmują i możliwość meldunku tymczasowego), to nie dlatego, że znużono im się wygodne trzy pokoje z kuchnią, z wygodami, we własnej miejscowości. Przejechali do Warszawy, bo u siebie nie mieli gdzie mieszkać. Oczywiście na setki bezdomnych znajduje się i ktoś, kto za miraż stołecznej życia porzucił w rodzinnym miasteczku mieszkanie. Władom jednak, że takie mieszkanie nie będzie stało próżne. Ktoś w nim się ulokuje.

Stolica ma znacznie lepszą sytuację mieszkaniową niż wiele innych miast w Polsce, lepsze wskaźniki urządzeń komunalnych i socjalnych na 1 mieszkańca. Twierdzenie, że należy standardy podwyższać nadal przy ograniczaniu liczby mieszkańców, oznacza zwiększenie dysproporcji w stosunku do dziesiątków innych miejscowości, w których ludność przybywa szybko, a mieszkańcy oraz urządzenia komunalne i socjalne wolnie.

Cały kraj odbudowywał Warszawę. Była i jest nie tylko stolicą administracyjną, lecz i sercem Polski. Ale mieszkańcy innych miast i miasteczek wcale nie marzą o tym, by Warszawa stała się Warszawką, by jej mieszkańcom żyło się lepiej i wygodniej niż reszcie Polski, by byli dodatkowo uprzywilejowani z racji swego adresu. Mielibyśmy kiedys w Polsce „szlachetnie urodzonych”. Teraz mamy „szlachetnie zameldowanych”. Czy nikomu nie przyjdzie do głowy, że np. młody kolejarz mieszkający w sublokatorskim pokoju w Chełmie może pewnego dnia zdecydować się przenieść do pracy w placówce PKP w Warszawie, nając sobie pokój w stolicy, zameldować się — i że byłoby to normalne? Lub, że mieszkając w Chełmie, mógłby zapisać się do spółdzielni mieszkaniowej w Warszawie i, odczekawszy swoją kolejkę, otrzymać tam swoje M-2? Niewykluczone, że przy całkowitym otwarciu bram stolicy, byłaby ona wkrótce bardziej zagęszczona niż Chełm. Nikt prze-

cież jednak nie broni, by niezadowoleni poproszili się wówczas z Warszawy do Chełma, czy też innych ludniejszych miast. Ruchliwość społeczna jest zjawiskiem pozytywnym.

Duże miasto ma swoje walory. Ciężkie, duże miasto ma jednak i swoje mankamenty. Męczy, denerwuje, doprowadza do nerwicy i psychozy. W rozwiniętych gospodarkach krajach obserwuje się dziś pod wieloma względami przesunięcie się z metropolii do miast średnich i małych, z centrów na przedmieścia i do osad podmiejskich. U nas tego nie ma, choć statystyki światowe zaliczają Polskę do krajów rozwiniętych.

Przyczyną pędu na stołeczny bruk są lepsze zarobki, jakie z reguły się tu otrzymuje. Za tę samą pracę człowiek o tych samych kwalifikacjach zarabia w Warszawie więcej niż w ośrodkach mniejszych. I tu leży pieśń pogrzebana. Wyczytałam niedawno w jednej z gazet, że sekretarka prezesa spółdzielni pracy w małym miasteczku zarabia 1200 zł miesięcznie, w powiatowym 1600, w wojewódzkim ok. 2000, w Warszawie ponad 2500. Te same różnice występują np. w pracy kontysty w GS, PZGS, WZGS i CRS — przy czym zakres pracy jest jednakowy. Przykłady można mnożyć w nieskończoność, każdy trochę zorientowany poda swoje. A do tego dojdą lepsze warunki pracy, lokale, meble, stołówki zakładowe, możliwości wyjazdów za granicę, przydział lepszych wczasów krajowych, ładniejsza odzież robocza itd.

Zrozumiałe, że w Warszawie jest szereg stanowisk, na których pracują ludzie o najwyższych kwalifikacjach i zgodnie z nimi muszą otrzymywać najwyższe uposażenie. Nie ma jednak żadnych powodów, aby różną miarą oceniał jednakowych ludzi z Warszawy i z Lublina, i z Krasnegostawu, i ze Szczubieszyna.

Koszty utrzymania w Warszawie są większe niż np. w Chełmie. To prawda. Jeśli jednak zlikwiduje się dysproporcje w zarobkach, wielu ludzi będzie zapewne otrzymywać taką samą pensję w małym miasteczku, gdyż zapewni im ona lepsze warunki bytu. Obok pędu do Warszawy, pojawił się pęd z Warszawy.

Adres powinien być dla obywatela sprawą dobrowolnego wyboru, a nie przywileju lub konieczności. Na różnego rodzaju obyczajach młodzieżowych można zaobserwować, jak wielu młodych ludzi z Warszawy daje kolegom z mniejszych miast do zrozumienia, że uważa ich za coś gorszego, niż za koleżki dają to do zrozumienia kolegom z miast powiatowych, a ci kolegom z małych miasteczek i osad. Trzeba sobie powiedzieć, że mają powody do takich ocen.

Pan Jerzy Polomski kokietuje nas z ekranu telewizyjny piosenką „Tutaj w Warszawie, tutaj zostanę”. Niech spróbuje zostać w Chełmie — tym by mi może zaimponował.

Decyzję stołecznej konferencji partyjnej o planowanej likwidacji ograniczeń meldunkowych w Warszawie przyjąłem z dużą satysfakcją. Wydaje mi się, że na lamach prasy należy szerzej przedstawiać nieprawidłowości, jakie wynikły z różnego traktowania obywateli, zaleźnego od ich miejsca zamieszkania. Nieprawidłowości, które nie tylko zapanowały w przepisach, ale także zdołały zakraść się do psychiki Polaków. Panienska sprzedająca znaczki na pocztę w Płikotwie Kaczmy powinna uważać się za gorszą od panienki sprzedającej znaczki na Nowogrodzkiej, skoro tamta druga ma wyższe pobory. Logiczne, prawda?

Być może Stolica, przy równym traktowaniu jej z resztą kraju, stałaby się mniej barwna. Nie szkodzi. Nasza miłość do niej nie zmaleje, a wzrośnie.

I jeszcze jedno. Pomimo ograniczeń, liczba ludzi zameldowanych w Warszawie wzrasta. To prawda. Jednak oprócz osób meldowanych wyjątkowo z okazji obejmowania ważnych stanowisk, czy też z okazji zawierania związków małżeńskich, inni, a tych jest większość, uzyskują to w drodze różnych zabiegów i kombinacji. A powinna to być — jeśli nie dziś, to w niedalekiej przyszłości — normalna, legalna, uczciwa operacja, dostępna dla każdego.

# KAZDEMUMU DYPLOMU?

Jerzy Kornas

**W**KSZTAŁCENIU na szczeblu wyższym Polska zajmowała jeszcze szereg lat po wojnie jedno z czołowych miejsc w Europie. Obecnie spadliśmy na 10 bodaj pozycję w liczbie studentów na 1000 mieszkańców, a jak tak dalej pójdzie, polećmy jeszcze niżej w tabeli. Stało się to nie dlatego, że przyjmujemy mniej ludzi na studia. Odwrotnie — przyjmujemy więcej niż kiedykolwiek przedtem. Inne kraje jednak, w tym prawie wszystkie socjalistyczne, zrobiły ostatnio większe postępy. Ponieważ zaś wiadomo, że nie ma inwestycji bardziej opłacalnych niż nauka, trzeba powiedzieć, że dzisiejsze wyprzedzenie nas przez inne kraje w szkolnictwie wyższym możemy za kilka lat odzyskać jako wyprzedzenie nas w rozwoju gospodarczym, czy kulturalnym.

To jedna sprawa. Druga: co roku dziesiątki tysięcy młodzieży nie dostają się do studiów. Nie z powodu niedostatecznej liczby miejsc, lecz braku miejsc. Młodzi, pełni zapału i marzeń ludzie nie mogą zrealizować swoich ambicji i planów życiowych, pozostają rozczarowani już u progu dorosłości. Część z nich powtarza próby w roku następnym, czy nawet dalszych, niektórzy zostają przyjeźdźcami, ale to nie zmienia obrazu całości. Apetyt na naukę pozostał przez nasz ustrój rozbudzony i nie są w pełni zaspokojone.

Niestety, nie jesteśmy w stanie zapewnić wszystkim chętnym miej-

scą na uczelniach. Nie ma chyba państwa, które mogłoby sobie na to pozwolić. Nie możemy wybudować dowolnej liczby domów akademickich, ani przeznaczyć dowolnej sumy na stypendia, utrzymanie kadry naukowej, pomoce naukowe, itd. Czy jednak zrobiliśmy w tej mierze wszystko, na co nas stać? Z pewnością nie!

Pewne kierunki, jak np. medycyna, możliwe są do studiowania tylko stacjonarnie, na normalnych zajęciach dziennych. Inne, jak fizyka, chemia, niektóre nauki techniczne, można opanowywać na studiach wieczorowych czy zaocznych. W tym względzie wydaje mi się, że wykorzystujemy do maksimum nasze możliwości. Jeśli chodzi np. o studia techniczne dla pracujących, to przykładem, jak umożliwić się ludziom korzystanie z nich, może być działalność Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Lublinie i współpracujących z nią wielkich zakładów przemysłowych z całego województwa. Urządza się punkty konsultacyjne w miastach powiatowych, dowozi studentów autokarami na zajęcia sobotnio-niedzielne do Lublina itd.

W Polsce zaniedbana jest natomiast zupełnie możliwość kształcenia zaocznego, korespondencyjnego i eksternistycznego na wydziałach humanistycznym, ekonomicznym i prawnoadministracyjnym. Wszystkie te formy szkolenia prowadzone są w zakresie bardzo skromnym. Niewątpliwie zaważył na tym lansowany przez dłuższy czas w różnych środowiskach pogląd, iż mamy nadprodukcję inteligencji humanistycznej. Pogląd najzupełniej nie-

słuszny, zakładający, że człowiek, który ukończył historię, powinien pracować jako historyk, filozof — filozof, a prawo — prawnik. Był to typowy przykład myślenia schematami biurokratycznymi. W wysoko rozwiniętych krajach nie jest rzadkością spotkanie absolwenta np. filozofii czy psychologii sprzedającego w sklepie kapelusze, serwującego koktaila gościom nocnego lokalu, czy też parującego się czymkolwiek innym, dalekim od jego dyplomu. Nie pracuje jako filozof, gdyż inni okazali się lepsi, a możliwości zatrudnienia w tym zawodzie są ograniczone; często nie pracuje jako filozof, bo sprzedawanie kapeluszy jest lepiej opłacalne. Czy to oznacza, że przez swą filozofię jest gorszym sprzedawcą? Na pewno nie, tak jak dziś wiadomo już, że żadnemu robotnikowi nie zaszkodziłoby średnie wykształcenie. Przed rokiem oglądałem w telewizji wywiad z kierowcą dalekobieżnego autobusu PKS, posiadaczem dyplomu magistra socjologii. Na pytanie dziennikarki, dlaczego nie pracuje w swoim zawodzie, odpowiedział: „ależ pracuję, mam przecież I kategorię prawa jazdy”. Po czym dodał, że jako kierowca zarabia dwukrotnie więcej niż jego koledzy z uniwersytetu; korzyści ze studiów ma nie w pracy, a w życiu prywatnym, osobistym, wewnętrznym.

Głównym elementem decydującym o przyjęciu na studia wyższe, są — obok różnego rodzaju punktacji, m. in. za pochodzenie społeczne — egzaminy wstępne. Wiadomo jednak, że egzamin to loteria. A zatem niewykluczone, że najlepiej przygotowany kandydat mógł, ze zdenerwowania czy przemęczenia, wypaść w tej loterii słabiej. Czy można tak lekko zeń zrezygnować? Dopóki nie jestem w stanie zaproponować lepszego systemu selekcji, nie mogę postuluje zniszczenia egzaminów. Jednakże nie widzę powodów, dla których przyjęcie na studia zaoczne, korespondencyjne i eksternistyczne na humanistyczne, prawne i ekonomiczne wszystkich, którzy zdali egzaminy wstępne. Niech pracują i niech się kształcą. Jeśli dobrowolnie zgadzają się podejmować podwójną pracę, dlaczego im zabraniać? Miejsce w bibliotekach, mam nadzieję, nie zabraknie. Podręczników trzeba będzie wydrukować znacznie więcej, lecz ludzie decydujący się na taką formę nauki, na ogół przeznaczają na nią popołudnia i wieczory. A więc wydatek na ten cel oszczędzimy na wydatkach na inne — bowiem gdyby nie nauka, trzeba by z innej kieszeni społecznej przeznaczyć pieniądze na urządzenie i imprezy społeczne i kulturalne, zaplanując wolne popołudnia. Czy zysk społeczny będzie mniejszy, jeśli zamiast umożliwić części młodzieży uczestniczenie w zespołach pieśni i tańca, grupach męskiego uderzenia, czy klubach brydżowych, zatrudnimy im w ramach tego samego budżetu możność dalszego kształcenia się?

Zresztą sądzę, iż wiele osób zgodziłoby się pokrywać z własnej kieszeni koszty egzaminów czy kolokwium, byle tylko mogły studiować.

Tu trzeba sobie powiedzieć jeszcze jedno. Człowiek pracujący i studiujący jednocześnie, wykonuje dwie prace. Jest to obojętne obciążenie organizmu. Nie każdy tak wytrzymał przez 4 czy 5 lat, nawet mimo najlepszych ambicji. Przejedłowa lekkie pogorszenie się stanu zdrowia może nie wypłynąć wyraźnie ujawnia na wyniki pracy człowieka tylko smutniaczkiem, natomiast połoty na łopatkę tego, który obarczony jest oboma zadaniami.

Czy wobec ludzi pracujących i studiujących jednocześnie na kierunkach — nazwijmy je umownie — niedostępnych, nie

można stosować pewnych udogodnień w nauce? Na przykład takich, że program przewidziany do opanowania na studiach dziennych w ciągu roku, eksterniści mogliby opanowywać w ciągu dwóch? Czy nie należałoby umożliwić tym ludziom próbę zdawania egzaminu nie tylko 3 razy (normalny, poprawkowy i komisyjny), lecz więcej? Studia tego rodzaju kosztują państwo wielokrotnie mniej niż stacjonarne studia dzienne, toteż nie ma potrzeby utrzymywania na nich rygoru, mogącego doprowadzać do rujnacji ponad normę obciążonych organizmów.

Program studiów zaocznych, korespondencyjnych i eksternistycznych powinien być identyczny z programem stacjonarnych, aby w miarę możliwości i potrzeb student nie przelazł się z jednego na drugie i odwrotnie (np. słuchacz studiów dziennych nie zdając egzaminu komisyjnego i został akreślony z kursu stacjonarnego, więc może kontynuować naukę eksternistycznie).

Socjalizm zakłada stały rozwój jednostki. W moim najgłębszym przekonaniu umożliwienie studiów niestacjonarnych wszystkim chętnym, to daleko nie perspektywiczny rozwój. Na tyle nasze niebogatą państwo stać na pewno i dziś.

Zdaje sobie sprawę, że moje propozycje mają charakter ogólny i nie rozwiązują takich spraw, jak np. to, że mieszkańcy ośrodka uniwersyteckiego łatwiej studiować zaocznie, niż mieszkańcy odległej osady. Wiem, że pozostaje otwarty problem tych, którzy nie dostali się z braku miejsc na medycynę, czy elektronikę, których to kierunków zaocznie studiować się nie da. Te jednak i inne obiekty nie zmniejszają wagi zagadnienia ogólnego. Polacy chcą się kształcić, gotowi są do poświęceń dla uzyskania tego celu i należy zrobić wszystko, żeby im to umożliwić. W imię najlepiej pojętego interesu narodowego.

można stosować pewnych udogodnień w nauce? Na przykład takich, że program przewidziany do opanowania na studiach dziennych w ciągu roku, eksterniści mogliby opanowywać w ciągu dwóch? Czy nie należałoby umożliwić tym ludziom próbę zdawania egzaminu nie tylko 3 razy (normalny, poprawkowy i komisyjny), lecz więcej? Studia tego rodzaju kosztują państwo wielokrotnie mniej niż stacjonarne studia dzienne, toteż nie ma potrzeby utrzymywania na nich rygoru, mogącego doprowadzać do rujnacji ponad normę obciążonych organizmów.

Program studiów zaocznych, korespondencyjnych i eksternistycznych powinien być identyczny z programem stacjonarnych, aby w miarę możliwości i potrzeb student nie przelazł się z jednego na drugie i odwrotnie (np. słuchacz studiów dziennych nie zdając egzaminu komisyjnego i został akreślony z kursu stacjonarnego, więc może kontynuować naukę eksternistycznie).

Socjalizm zakłada stały rozwój jednostki. W moim najgłębszym przekonaniu umożliwienie studiów niestacjonarnych wszystkim chętnym, to daleko nie perspektywiczny rozwój. Na tyle nasze niebogatą państwo stać na pewno i dziś.

Zdaje sobie sprawę, że moje propozycje mają charakter ogólny i nie rozwiązują takich spraw, jak np. to, że mieszkańcy ośrodka uniwersyteckiego łatwiej studiować zaocznie, niż mieszkańcy odległej osady. Wiem, że pozostaje otwarty problem tych, którzy nie dostali się z braku miejsc na medycynę, czy elektronikę, których to kierunków zaocznie studiować się nie da. Te jednak i inne obiekty nie zmniejszają wagi zagadnienia ogólnego. Polacy chcą się kształcić, gotowi są do poświęceń dla uzyskania tego celu i należy zrobić wszystko, żeby im to umożliwić. W imię najlepiej pojętego interesu narodowego.

# POEZJA BIAŁORUSKA

(W przekładach Kazimierza Andrzeja Jaworskiego)

Piatruś Brouka

(ur. 1905)

Białoruś  
Ma jasne oczy,  
Wiele miłości w piersiach:  
Dźwięczne pole,  
Dźwięczne sosny,  
Dźwięczne słoneczne drogi.  
W Białorusi,  
Gdziekolwiek pójdiesz,  
Każdy kącik śpiewa...  
Dźwięczne słowa,  
Dźwięczne pleśni,  
Dźwięczne drzewa  
I serce.

Lubię otwarte mieć rozmowy,  
Wzbytye fałszu, słów zwodniczych.  
Nie chcę miłości czuć cząstkowej —  
Polowy nie uznaje w niczym.

Wszystko, co pełne, sercu lubię:  
I pocałunek w pełnym lecie,  
I pełny wiersz, i pełny kubek,  
I pokój też na całym świecie!



Maksym Tank

(ur. 1912)

Sosny  
nad Naroczą

Kołyska  
Osmalonymi koronami  
Z zalany mi żywica  
Ranami od kul.

W jasną pogodę  
W bród przenoszą słońce  
Aż na zachodni brzeg Naroczy,  
Pomagają rybakom  
Ciągnać sieci z sielawą:  
A wieczorem  
Śpiewają z pionierami  
I skaczą przez ognisko.

A w czasie burzy —  
Z dłoni do dłoni  
Swoich węzlastych  
I poskręconych rąk — gałęzi  
Przerzucają  
Oblaskowane  
Pioruny i chmury.

Gdybym był nawet głuchy,  
Pośród tysiąca innych sosen  
Odróżniłbym ich poszum.  
I gdybym nawet był ślepy,  
Uczulowawszy je albo objawszy  
Poznałbym, że to one.

To słońce, które widzisz  
Na Park-Avenue i w Harlemie,  
Nie jest tym samym słońcem.

I drzewa, które rosną  
Na Park-Avenue i w Harlemie,  
To drzewa zgoła różne.

I deszcz jesienny, który szumi  
Na Park-Avenue i w Harlemie,  
To deszcz nie jednaki.

I tylko ręce, co szukają  
Na Park-Avenue i w Harlemie,  
Pracy i chleba —  
To są te same ręce.

Maska

W muzeum — maska poety.  
Skamieniała.  
Obojętna na wszystko.  
Rozbijcie ją lub schowajcie!  
Czyż nie wiecie,  
Ze gdyby on był taki,  
Z pewnością żyłby jeszcze.



Michał Kałaczyński

(ur. 1917)

Wierność

Zegnaliliśmy się.  
Żołnierski szlak ogromny  
W rozległą będzie dal się wic mi.  
Na pożegnanie dałeś mi dar  
skromny —  
Iglę i szpulkę z niemi.

Dziękuję ci,  
Przydadzą się na pewno,  
Zachowam te drobiazgi święte.  
W wojennej drodze niby piosenkę  
równą  
Będę cię wciąż pamiętał.

Podala je  
Płaniąc się niby tęcza.  
Bez łez żegnając mnie tak rzekła:  
„Jak nic za igłą mogłabym —  
zaręczam —  
Za tobą iść do piekła”.



Kastuś Kirejenka

(ur. 1918)

Serce buntuje się w mym słowie  
I z dala świeci się marzenie.  
Znowu przychodzę tu na spowiedź,  
O, ukochana moja ziemia.

Rzucam cień strachów mych w  
otchłania,  
Duszę na twym ołtarzu składam.  
I gdy znów padnę na kolana  
Przed tobą —  
o, nie uderz, błagam.

Nie rzucaj mnie na żar ofiarny,  
Oświeć i podnieś mnie do siebie,  
Bo dotąd oprócz słów niezdamych  
Nie mam z czym jeszcze przyjść do  
ciebie.

Juraś Świrka

Wy nie plejcie, koguty,  
W polu.  
Nie wierzycie,  
Żem tu tylko gość.  
Ten duchowy i zewnętrzny polar,  
Choć się bronię, jest go we mnie  
dość.

Ja odchodzę od wioski, odchodzę.  
Gdy pomyśleć,  
Serce się ścisła.  
Taką stratę musi odczuć każdy,  
Taka strata sercu wszystkim bliska.

Choć wciąż miłość do wioski mej  
czuję,  
Nie w niej lata swe spędzam,  
a żal mi.

Bo przyjeżdżam tu tylko,  
Kiedy mama zachoruje,  
Albo ktoś z krewnych wstępuje do  
armii.

Jam dla ciebie  
Ot — wychodźca, co z miastem się  
styka.

Jednak przyznam ci się, wiosko —  
daję słowa.  
Ze zaglądam tu jak do słownika,  
Aby się upewnić,  
Ze piszę prawidłowo.

Rygor Baradulin

(ur. 1935)

Koreanka

Ulice już bezgłośnie  
Czas neony rozjarzył.  
Ogienkiem papierosa  
Koreanka się żarzy.

W purpurowym swym płaszczu  
Zmierzył jaśnieje daleko.  
Zbiegł do zatoki z płaczem  
Wiatrzyk —  
oparzył dłonie.

Przy takim papierasie  
(Niech mi ten grzech odpuszcza)  
W noc zimną chciałbym grać się  
Gdzieś w Białowieskiej Puszczy.

Ot, takim się zaciągnął.  
Aż oczy w gwiazd migotach!  
Boram — od wiatru giąć się,  
Pełni, od łez dygotac.

Możesz mi sparzyć duszę,  
Lecz moją bądź — nie we śnie.  
Miasto ogarnia głusza,  
Nawet odetchnąć nie śmie.

Miasto cisza przenika,  
Lecz słońce pantafelek.  
To Koreanka znika —  
W uliczce mrak się ściela.

Stare  
cmentarze

Gałęzie skręcone w męce.  
Na laśnym cmentarzu głusza.  
Krzyża rozpostarły ręce —  
Przedwcześnie tutaj nie puszczą.

Pajęczek coś tka na krosnach.  
Codziennej ciszy milczenie.  
I tylko w barciach na sosnach  
Pszczoł pracowitych brzęczenie.

Aleś Barski

(ur. 1940, członek ZLP)

Matce

Twoja twój była słońcem  
nad moją kołyską,  
któremu dotykał ręką,  
któremu przyglądał się z bliska.  
Twoja twój niby żagiel  
nad moją kołyską  
unosila mnie  
na morze bajeczne,  
unosila mnie na morze serdeczne  
i znów kierowała na przystań.  
Twoja twój  
była nad kołyską niebem,  
niebem zielonej wiosenki.  
Twoja twój była chlebem  
i nutą piosenki.

Wiele Jaracz żyje! Oto siedzi,  
krępy, w fotelu wypłatanym.  
Twarz jego jakby ryta w miedzi,  
a dalej jesień i kasztany... (L.)

W IERSZ „Spotkanie ze  
Stefanem Jaraczem.  
Lublin 1944” pisał Jan  
Huszcza w wiele lat po  
tym, gdy jako współ-  
pracownik „Odrodzenia”  
przeprowadzał z wielkim aktorem  
wywiad dla swojego pisma. Musiał  
głęboko wryć się w pamięć Husz-  
czy nastrój owego popołudnia spo-  
żonego z Jaraczem w redakcji  
„Rzeczypospolitej” przy Krakow-  
skim Przedmieściu 62, gdy przeży-  
wał radość ze spotkania z odna-  
lazym się artystą i słuchał jego  
wyrzutek na temat przyszłości pol-  
skiego teatru, gdy wspólnie obser-  
wowali walkę powietrzną, którą wy-  
soko nad miastem toczyły dwa sa-  
moloty — radziecki i niemiecki.

Jaracz siedzi przy oknie w re-  
dakcji — tak kończy się wywiad —  
i patrzy daleko gdzieś za okno. Ja-  
racz ma przedziwne smutne oczy,  
nawet wtedy, kiedy się uśmiecha.  
„Marzenie zostało — powiada. —  
Wierzę, że Polska, która powstanie  
na zgłiszczach, da warunki roz-  
woju teatrowi, jako instytucji wy-  
chowawczej. Co sam będę robił —  
nie wiem. Jestem inwalidą, ale o  
ile mi zdrowie pozwoli, będę starał  
się w tym dziele uczestniczyć.”

Jaracz przybył do Lublina 3  
września 1944 z wyzwolonego przez  
wojska radzieckie Otwocka, gdzie —  
schorowany i wyczerpany, z gruź-  
licą gardła i ogłuchły na jedno  
ucho, po pobycie na Pawiaku i  
w Oświęcimiu, po kilku latach oku-  
pacyjnej poniewierki — mieszkał  
ostatnio. Jego wyjazd z Lublina do  
Warszawy w listopadzie 1939 r.,  
marzenia o wskrzeszeniu „Atene-  
neum”, zakończyły się całkowitą  
klęską. Mówi o tym fragment pa-  
miętnika artysty:

Z początku przeważał sąd (pod-  
czas narady zarządu ZASP, która  
odbyła się w początkach 1940 r. w  
Warszawie na temat jakiej zajęć sta-  
nowisko wobec rozkazu władz nie-  
mieckich o rejestracji aktorów —  
przy M. D.), że należy się rejestro-  
wać, wykonywanie bowiem swego  
zawodu, w ramach nie koludujących  
z nakazami sumienia narodowego,  
nie może być przez nikogo kwestio-  
nowane.

Przekonanie to wydawało się  
słuszne zaraz po wejściu Niemców.  
Najlepszy dowód, że nikt nie robił  
zarzutu teatrowi krakowskiemu, kie-  
dy przygotowywał się do otwarcia  
sezonu, ani nie miał pretensji do  
teatru lubelskiego, który już w  
październiku zaczął grać. W tym  
przekonaniu w listopadzie 1939 roku  
złożyliśmy. Adwentowiec i ja, a  
maże jeszcze ktoś, podanie do oku-  
pantów o pozwolenie otwarcia swo-  
ich teatrów, rozumiejąc, że chociaż  
w ciężkich warunkach okupacyj-  
nych — należy swój obowiązek wy-  
pełnić.

Nie mieliśmy bowiem wówczas  
żadnego pojęcia o tym, jaki bestial-  
ski los przygotowali nam hitlerow-  
cy i do jakich perfidii są zdolni. (...)  
Zamiast na scenę trafił Jaracz  
do Oświęcimia. Z niemieckiego  
punktu widzenia tam właśnie było  
miejsce polskiego artysty.

Ale teraz był wrzesień 1944 roku,  
w Lublinie świeciło słońce. Jaracz

przyjął z wielką serdecznością i z  
całym naleśnym mu szacunkiem.  
Stary, schorowany człowiek, który  
jeszcze niedawno bardziej myślał o  
śmierci niż o dalszym, twórczym  
życiu, z każdym dniem odzyskiwał  
siły, wiarę w swoje postanowienia.  
Po pięcioletniej przerwie znów sta-  
nął przed mikrofonem radiowym. Z  
prymitywnego, pierwszego lubel-  
skiego studio, popłynęły na fal 224  
m jego słów:

Dziś w Lublinie, po raz pierwszy  
od pięciu lat, spotykam się z wami,  
przemawiam do was — moich daw-  
nych, odzyskanych przyjaciół, moich  
słuchaczy, moich rodaków. Stoję  
przed wami chory, bardzo zmęczony,  
głos odmawia mi posłuszeństwa i  
dlatego mogę tylko w paru słowach  
podzielić się z wami moimi marze-  
niami, związanymi z przyszłością  
sztuki w naszej ojczyźnie. (...) Teatr  
polski musi się stać tym teatrem,  
który posładzie widza całkowicie,  
wciągnie go w świat nierzeczywiste-  
go piękna, pozwoli mu przeżyć  
twórczy moment przeżyć artystycz-  
nych, pozwoli mu doznać doskona-  
łego katarsis. Dopiero taki teatr bę-  
dzie świętynią i katedrą narodu, z  
której będzie on czerpał siłę i mę-  
rość i która poprowadzi go ku wy-  
zynom prawdziwego człowieka.

Jaracz rzucił się w wir zajęć.  
Udziela wywiadów, pisze artykuły  
dla prasy, prowadzi rozmowy z  
członkami Polskiego Komitetu Wy-  
zwolenia Narodowego. Klóregoś  
dnia staje znów na scenie lubelskie-  
go teatru. Ale nie w kostiumie i z  
twarzą ukrytą pod warstwą szminki.  
Oto jedna z ostatnich ról Stefa-  
na Jaracza: przechodzi przed fron-  
tem aktorów-żołnierzy, członków  
Teatru i Armii. Na zielonym fle  
mundurów — wspomina Władysław  
Krasnowiecki w książce „W  
stołecznym Lublinie” — pojawił się  
nieuysoki człowiek w ciemnym  
ubraniu. Odebrał raport. Ledwie sły-  
szalnym głosem pozdrowił stojących  
na baczność aktorów-żołnierzy.  
Spojrzałem na widownię i zobaczy-  
łem surouą twarz Jacka Woszcze-  
rowicza, zalaną łzami...

Spotkał się też Jaracz z innymi  
aktorami. Z tymi, wśród których  
grał na lubelskiej scenie w smut-  
nych październikowych i listopado-  
wych dniach 1939 roku — kiedy  
kreował postać majstra Szaruckie-  
go w „Majstrze i czeladniku” i To-  
polskiego w „Lekkomyślniej sio-  
strze”. Wielu z tych starych znajo-  
mych przeżyło w Lublinie oku-  
pację. Józef Klejer był teraz kie-  
rownikiem nowo powstałego zespołu  
teatralnego. Irena Ładosiówna  
znów reżyserowała. Od 12 sierpnia  
1944 roku na scenie teatru lubel-  
skiego szły przedstawienia „Moral-  
ności pani Dulskiej”.

Ale Jaracza znów — jak przed-  
pięciu laty — ciągnęło w kierunku  
Warszawy. Tam, wśród wąskich ulic-  
czek Powiśla, stał jego teatr, jego  
„Ateneum”. Szukając się do odjar-  
du do Otwocka, gdzie w niewiel-  
kim pensjonacie spoczywało kilka  
wyniesionych z pozości wojennej  
osobistych drobiazów, w słoneczne  
popołudnie spotkał się Jaracz w re-  
dakcji „Rzeczypospolitej” z Janem  
Huszcza. Udzilił ostatniego w  
swym życiu wywiadu. Ukazał się on

Mieszkanie ● mianowanie ● doksztalcenie

## Jak żyją młodzi nauczyciele

Wojciech Kurhan

N IEDAWNO lubelski Za-  
rząd Okręgu ZNP prze-  
prowadził na Lu-  
belszczyźnie wielostronne  
badania ankietowe na  
temat „warunków pra-  
cy i życia młodych nauczycieli”.  
Ankiety nadesłało ponad tysiąc  
osób w wieku do lat 35 i o stażu  
pracy od 3 do 5 lat. Przeważnie  
chodziło o szkoły wiejskie wyżej  
zorganizowane (ponad pięćset na-  
uczycieli).

Ankieta przynosi materiał wy-  
śelowy dla refleksji nad sytuacją  
nauczyciela pracującego w tzw. te-  
renie, czy w ogóle nad sytuacją  
młodej kadry nauczycielskiej. Weź-  
my choćby sprawy mieszkaniowe,  
czyba najbardziej — by tak rzec —  
boleśne. Jak wynika z ankiety —

średnio na osobę przypada 19,5 m  
kw. powierzchni. Wszelako owe 19,5  
m kw. kryje sprawy rozmaite i  
wcale nie jednoznaczne.

Oto bowiem istniejące przepisy, że  
w miejscowościach liczących do 2  
tys. mieszkańców nauczyciel ma  
prawo do mieszkania bezpłatnego,  
które powinno być zapewnione (tj.  
zazwyczaj wynajęte u osób pry-  
watnych) i opłacone przez Prezy-  
dium GRN. Po pierwsze jednak —  
nikt przedtem nie ustalił warun-  
ków, jakie ma spełniać wynajęty  
lokal (urządzenia sanitarne, oświet-  
lenie etc.), a to bywają często nie-  
wesołe; szczęśliwie lubelskie Kura-  
torium podjęło ostatnio kwestię, by  
podinspektorzy, inspektorzy i wity-  
tatorzy włączyli do swoich obowią-  
zków sprawdzenie stanu wynajmo-

W Archiwum Akt Nowych w Warszawie, w aktach PKWN, znajduje sięteczka z napisem „Teatr, organizacja, repertuar, personel”. Między innymi jest tutaj kilka nigdy dotąd nie publikowanych listów wprowadzających w następny okres życia Stefana Jaracza, gdy już opuścił on Lublin. Zbiór owych dokumentów rozpoczyna odręczny list Jaracza do ówczesnego kierownika Resortu Kultury i Sztuki PKWN, Wncentego Rzymowskiego:\*

Otwock — Mickiewicza 5  
róg Szopena 5.XI.44  
Kochany Panie Wincenty!  
Wstrzymałem się aż dotąd z zwracaniem Wam głowy swoję

schylek życia. Zresztą mam nareszcie nadzieję, że ten koszmar wojenny za parę miesięcy się skończy, a wtedy przypuszczam, że Związek nasz zapewni mi jakąś możliwość życia w Schronisku aktorskim w Skolimowie. Nie wybieram się już do długiego życia, ale jeśli są jeszcze jakieś możliwości, chciałbym uniknąć ostatecznej poniewierki.

Jeszcze raz przepraszam za zabieranie drogiego czasu, ale w mej absolutnej samotności — nie widziałem innego sposobu wyjścia z obecnego położenia.

Ułask dłoni  
Stefan Jaracz

Powyższy list świadczy o chwilowym załamaniu się Jaracza, o podpadnięciu w depresję. Artysta wyjeżdżał z Lublina zapomniawszy

warunków finansowych. Nie wypłaconych gotówką, ale w formie tzw. „suchego prowiantu” czyli przez przydzielenie mu znacznej ilości żywności, która w owych czasach stanowiła najpewniejszą walutę.

Oto kolejny dokument z akt. PKWN, datowany w Lublinie 27 listopada 1944 r.

Do  
Biura Ekonomicznego

Wobec tragicznej sytuacji zastużonego artysty dramatycznego, ob. Stefana Jaracza, który przebywa w Otwocku bez odpowiednich dla jego stanu zdrowia środków utrzymania, prosimy o przydzielenie mu na okres 2-eh miesięcy następujących ilości produktów żywnościowych 1) 60 kg mąki, 2) 10 kg cukru, 3) 5 kg ryżu, 4) 8 kg masła, 5) pół kg drożdży, 6) 5 kg konserw, 7) 10 puszek mleka skondensowanego.

Szef Wydziału Ogólnego  
Resortu Kultury i Sztuki PKWN  
(Sobolewski Z.)

Była to naówczas znaczna suma „pieniędzy”, a jej wartość mogła w pełni ocenić tylko ci, którzy pamiętają pierwsze pookupacyjne miesiące.

Jaracz mimo choroby nie zaprzestał pracy twórczej. Pisał pamiętnik, pracował nad artykułami o teatrze, redagował swój słynny „Testament”. Musiał przy tym nie najlepiej znosić atmosferę wojskowego szpitala. Ze pamiętano o nim, świadczy następny dokument, list pisany z Lublina przez kierownika Resortu Pracy, Opieki Społecznej i Zdrowia PKWN, dr Bolesława Drobniera:

Do  
Majora Ob. Wąsowicza  
Szefa Szpitala Lekko Rannych  
nr 6

W odpowiedzi na pismo nr 0440 z 15 bm, donosząc Obywatelowi, że o ułatwieniu warunków, w jakich się znajduje wspaniały artysta polski, Stefan Jaracz, myśleliśmy i przewidzieliśmy dla niego bardzo wygodny pobyt w Natęczowie, gdzie znajdzie pod każdym względem dobre warunki w „Domu odpoczynku dla pracowników Kultury”. Sądziłiśmy, że Dom ten będzie gotowy z po-

tem otrzymuje mianowanie. W przeciwnym wypadku nie ma prawa wykonywać dalej zawodu. Gdy w szkolnictwie podstawowym i ogólnokształcącym sytuacja w tym względzie nie budzi raczej niepokoju, to w zakresie szkolnictwa zawodowego dochodzi do smutnych paradoksów. Istnieje bowiem inny przepis, wymagający od mianowanego nauczyciela zawodu 2-letniego stażu w przemyśle. Trzeba być wielkim miłośnikiem pracy pedagogicznej, by po dwu latach spędzonych w zakładzie produkcyjnym chcieć zaczynać w szkole. Często nauczyciele zawodu przychodzą do szkoły bezpośrednio po odbyciu studiów i jeśli nawet przeprowadzą wymagane pięć lat, to i tak w związku z rzeczonym przepisem nie mogą otrzymać mianowania. Są przypadki, że uczą jako pracownicy na umowie przez 10—15 lat, co z kolei pozostaje w kolizji z poprzednim przepisem! Błędne koło.

Wracając do ankiety — przeszło 20 proc. młodych nauczycieli kształca się (zwykle na wyższych uczelniach). Jest to zjawisko krępujące, tym więcej, że duża grupa planuje podjęcie studiów. Ogólnie ponad 70 proc. nauczycieli Lubelszczyzny posiada dodatkowe kwalifikacje, co sytuuje nas w okolicach przeciętnej krajowej. Aby tę przeciętną przekroczyć, trzeba rozwiązać problem noclegów nauczycieli studiujących. Hotel lubelskiego „Domu Nauczyciela” nie zapewnia optymalnego rozstrzygnięcia w tym względzie. Nauczyciele-studenci nocują czasem nawet na dworcu! Kuratorium zamierza w przyszłym roku zwiększyć bazę noclegową w Internacie przy ul. Zana, ale czy to radykalnie kwestię rozwiąże? Ułatwieniem finansowym będzie w tej sytuacji fakt, że Ministerstwo Oświaty zezwoliło na płacenie delegacji nauczycielom-studentom w okresie wakacyjnym.

czątkiem listopada, tymczasem otwarcie tego Domu odpoczynkowego nastąpi najprawdopodobniej 1 stycznia, względnie w pierwszych dniach stycznia. Będą tam i appropriate warunki znacznie lepsze, niż w Szpitalu, będzie i opieka lekarska, będzie też i towarzystwo, z którym będzie miło czas spędzić.

Proszę zapewnić ob. Jaracza w imieniu Resortu mnie poruczonego, także w imieniu Resortu Kultury i Sztuki, a wreszcie w moim osobistym imieniu (a wstyd przyznać się, że znamy się z ob. Jaraczem od 42 lat), że dołożymy wszystkich starań, by ob. Jaracz był zadowolony. Teraz jest to już kwestią dni. Natęczęw jest też tak blisko Lublina, że nieraz odwiedzać będą ob. Jaracza starzy znajomi, albo nowi, którzy poczytywać sobie będą za zaszczyt przebywanie choćby parę chwil w Jego towarzystwie.

Jeszcze jedna prośba: jeśli Szpital poniósł jakieś specjalne wydatki, by ułatwić warunki ob. Jaracza, proszę mi donieść, a natychmiast je wyrownam.

Ze swej strony dziękuję bardzo Obywatelowi Majorowi za zajęcie się ob. Jaraczem i proszę o złożenie ob. Jaraczowi w moim imieniu najserdeczniejszych życzeń świątecznych i noworocznych... Do 100 lat!!

Nigdy już nie miał ujrzeć Jaracz natęczęwskiego parku, nie danym mu było odwiedzić lubelski teatr, poczuć pod stopami deski „Ate-neum”. Choroba przykuła go na stałe do łóżka. Ostatnie miesiące życia spędził w otworkim sanatorium przy ulicy Reymonta. Stamtąd 6 sierpnia przysłał na pierwszy powojenny zjazd Związku Artystów Scen Polskich referat „Stare narowy i nowe nawyknięcia”, znany też pod nazwą „Testamentu”:

Tę tajemniczą siłą, którą teatr był i jest, jak każda sztuka, obdarowany — to poezja. Najgorszy cynik teatralny miał chwile, gdy był w jej mocy i słuchał jej w zbożnej ciszy. I te tylko chwile usprawiedliwiały nędzne jego życie. Ta potężna siła przebiega drzewcem teatru, czasem tylko od autora, czasem od poszczególnego aktora, niekiedy od kilku na raz, rzadko od całego zespołu aktorskiego, a pewnie jeszcze nigdy u nas w symfonii wszystkich elementów teatru. Bo wtedy odczuliśmy wszyscy — Scena i Widownia — że dokonaliśmy się u nas cud, że wyrósł w naszych duszach kwiat, który będzie ozdobą całego naszego życia. (...)

Pięć miesięcy wcześniej pisał Jaracz w liście do Juliusza Osterwy:

(...) Nie narzekam na los, bo choroba pozwoliła mi zrobić wielki rachunek z sobą i przygotować się do najważniejszego wypadku w życiu tj. do śmierci. Uciekałem od tego całe niemal życie, pełne wlecznego lęku przed Nieznanym. Ten lęk był powodem wielu szaleńczych kroków. I oto naprzód wojna, potem Oświęcim, a wreszcie choroba zmusiły mnie, bym stanął odważnie wobec pewnych omijanych zagadnień. I to jest wielkie dobrodziejstwo nieszczęścia.

11 sierpnia 1945 r. Stefan Jaracz umarł...

## Ostatnia rola Jaracza (3)

# „Dobrodziejstwo nieszczęścia...”

Mirosław Derecki

osobą, niestety, w tym momencie doszło moje położenie do jakiejś granicy możliwości. Żyję tutaj już czwarty miesiąc pod nieustającym ostrzałem. Dom, w którym mieszkam, dostał już 2 pociski. Nie ma futra ani opału. Ale i to byłoby do przetrzymania, bo mi już wystarczy jedno. Nie ja jeden. Ważniejsze, że moja jedyna obecnie opiekunka, właścicielka pensjonatu, p. Dr Dobrowolska — została przed dwoma dniami ciężko ranna, leży w szpitalu po ciężkiej operacji, a bez Jej Osoby pensjonat zostanie prawdopodobnie zlikwidowany, a wtedy nie mam się już gdzie podziąć. Jestem w tej chwili prawie bez środków do życia. Gdybyście zatem byli do możliwości ułatwić mi przyjazd do Lublina, jakiś kąt ze skromnym utrzymaniem, byłbym Wam b. wdzięczny. Może mógłbym tam coś jeszcze robić w szkole dramatycznej lub wpływać na atmosferę w miejscowym teatrze. Nie obiecuję pod tym względem dużo, bo zdrowie jest zrujnowane, ale myślę, że i testament ma jakieś znaczenie. Zapewniam, że chory i bezsilny Jaracz jest już tylko ciężarem, nie przynoszącym właściwego pożytku, ale z drugiej strony wydaje mi się — może nieśluszenie — że skoro już mamy Rząd Polski, to mam jakieś skromne prawo do opieki na ten mój

\* Dokumenty te odnalazł kilka lat temu w aktach PKWN doc. dr Zygmunt Mańkowski. Jemy też zawdzięczam wiadomość o nich.

niamal o trwającej go chorobie, odmłodzony atmosferą panującą w „mieście PKWN”, przekonany, że w najbliższym czasie przekroczy próg swojego teatru. Tymczasem front na Wiśle ustalił się, w Otwocku panowały warunki przyfrontowe, jakże inne od „pokojowego” już, leżącego 130 kilometrów na południe, Lublina. Znow zwalił się na Jaracza cały koszmar wojny, wróciło poczucie osamotnienia. Wyjeżdżał z Lublina na własne życzenie, lekceważąc chorobę, tymczasem w niesprzyjających warunkach musiało nastąpić szybkie pogorszenie. Mógł w każdej chwili wrócić do Lublina, gdzie zapewniono by mu odpowiednią opiekę, ale pomyślał o tym zbyt późno. Wtedy, kiedy nie miał już możności wrócić o własnych siłach. Od wyjazdu z Lublina minęły, nawiasem mówiąc, nie cztery miesiące, ale nieco ponad półtora.

Trzeba dodać, że wkrótce potem Jaracz zmienił zdanie i zrezygnował z chęci wyjazdu do Lublina. Postanowił zostać w Otwocku, a nawet upatrzył sobie miejsce, do którego miałby się przenieść. Myślał o zamieszkanu w pensjonacie pani Hirsowskiej.

List Jaracza spowodował natychmiastową reakcję władz rządowych. Do Otwocka wyjechał przedstawiciel PKWN, Zieliński. Artysta znalazł się teraz w miejscowym szpitalu wojskowym, który zapewnił lepszą opiekę niż pobyt u osoby prywatnej. Postarano się też o zapewnienie Jaraczowi odpowiednich

wanych przez nauczycieli pomieszczeń (będzie można przynajmniej ustalić sytuację w tym zakresie, a to już otwiera perspektywę ku pozytywnym zmianom). Po wtóre — nie istnieją przepisy regulujące wysokość czynszu płaconego przez GRN (według ankiety średnio wynosi on 247 zł miesięcznie), toteż kiedy wszystko opiera się na „dobrowolnej umowie”, zdarzają się wypadki „cichych” dopłat ze strony nauczyciela (przeciętnie 73 miesięcznie). I tę sprawę należy, oczywiście, uregulować, jeśli słuszny przepis o mieszkaniu bezpłatnym ma równocześnie posiadać realne znaczenie.

Tak czy owak, rozwiązanie kwestii mieszkaniowej w postaci lokali wynajmowanych dla nauczycieli przez GRN (w miejscowościach liczących do 2 tys. mieszkańców) ma charakter zastępczy. Radykalnym i trwałym rozwiązaniem byłaby tu budowa mieszkań służbowych w postaci tzw. domków wolnostojących. Potrzeby Lubelszczyzny sięgają w tej dziedzinie 10 037 izb, czego z miejsca zrealizować nie można. Planuje się w każdym razie wybudowanie w latach 1971—1975 ponad 1 100 mieszkań służbowych dla nauczycieli, co zmniejszy o 20 proc. liczbę osób korzystających z lokali wynajmowanych. Tak więc rysuje się szansa faktycznej poprawy sytuacji, aczkolwiek długie jeszcze lata będzie aktualna kwestia izb wynajmowanych. Zatem kontrola i uregulowanie tej właśnie kwestii z prezydiami GRN jest rzeczą najpilniejszą.

Warto dodać, iż myśli się także o pomocy dla nauczycieli czekających na lokale spółdzielcze (poza spółdzielczością nauczycielską). Oczywiście, najłatwiej z tym w większych ośrodkach miejskich, gdzie spółdzielczość mieszkaniowa szerzej się rozwija. Oto na przykład w Lublinie — wskutek starań Zarządu

Okregu ZNP i wobec przychylności kierownictwa LSM-u, „Kolejarza” i „Motoru” — już w 1972 r. otrzyma mieszkania 30 nauczycieli spośród tych, którzy mają wyjątkowo ciężkie warunki lokalowe lub posiadają umowy ze spółdzielnią opiekującą na okres 1975—1980 r. Wszystko to może na razie nie jest zbyt wiele w stosunku do potrzeb, skoro na owe 30 mieszkań już wpłynęło 150 podań, lecz znowu jest to w każdym razie znak, że i w tej dziedzinie można oczekiwać na jakąś poprawę.

Pewien niepokój społeczny obudzili ostatnio, związane z niżej demograficznym, kwestie powstawania rezerw kadrowych w szkolnictwie podstawowym. Obawy te przeważnie wydają się mało uzasadnione. Przecież często bywa tak, że wprawdzie zmniejsza się liczba uczniów, ale równocześnie nie zmniejsza się liczba klas, toteż w takich wypadkach nie ma problemu redukcji kadr. Istnieje natomiast problem bardziej efektywnego ich wykorzystania. Po drugie — w związku z likwidacją studiów nauczycielskich i liceów pedagogicznych oraz zmniejszeniem naboru na studia pedagogiczne zostanie w przyszłości zapewniony właściwy — w obliczu niżu — dopływ nauczycieli do szkolnictwa. Znow proces, gdzie sprawy intensyfikacji mają podstawowe znaczenie. Węć na koniec, myślę, nie trzeba bać się i takiego stwierdzenia, że — jeśli idzie o margines aktualnej sytuacji — niż demograficzny wykruszy element przypadkowy w zawodzie, zatem będzie to rodzaj naturalnej selekcji. Sprawa wszak — powtarzam — marginalna.

Kiedy mówimy o jakościowej stabilizacji kadry, trudno nie wspomnieć o kwestii mianowań. Istnieje przepis, że po pięciu latach pracy nauczyciel ma obowiązek zdać egzamin kwalifikacyjny i zaraz po-

tem otrzymuje mianowanie. W przeciwnym wypadku nie ma prawa wykonywać dalej zawodu. Gdy w szkolnictwie podstawowym i ogólnokształcącym sytuacja w tym względzie nie budzi raczej niepokoju, to w zakresie szkolnictwa zawodowego dochodzi do smutnych paradoksów. Istnieje bowiem inny przepis, wymagający od mianowanego nauczyciela zawodu 2-letniego stażu w przemyśle. Trzeba być wielkim miłośnikiem pracy pedagogicznej, by po dwu latach spędzonych w zakładzie produkcyjnym chcieć zaczynać w szkole. Często nauczyciele zawodu przychodzą do szkoły bezpośrednio po odbyciu studiów i jeśli nawet przeprowadzą wymagane pięć lat, to i tak w związku z rzeczonym przepisem nie mogą otrzymać mianowania. Są przypadki, że uczą jako pracownicy na umowie przez 10—15 lat, co z kolei pozostaje w kolizji z poprzednim przepisem! Błędne koło.

Wracając do ankiety — przeszło 20 proc. młodych nauczycieli kształca się (zwykle na wyższych uczelniach). Jest to zjawisko krępujące, tym więcej, że duża grupa planuje podjęcie studiów. Ogólnie ponad 70 proc. nauczycieli Lubelszczyzny posiada dodatkowe kwalifikacje, co sytuuje nas w okolicach przeciętnej krajowej. Aby tę przeciętną przekroczyć, trzeba rozwiązać problem noclegów nauczycieli studiujących. Hotel lubelskiego „Domu Nauczyciela” nie zapewnia optymalnego rozstrzygnięcia w tym względzie. Nauczyciele-studenci nocują czasem nawet na dworcu! Kuratorium zamierza w przyszłym roku zwiększyć bazę noclegową w Internacie przy ul. Zana, ale czy to radykalnie kwestię rozwiąże? Ułatwieniem finansowym będzie w tej sytuacji fakt, że Ministerstwo Oświaty zezwoliło na płacenie delegacji nauczycielom-studentom w okresie wakacyjnym.

Nie jest moim celem dokładna analiza czy choćby tylko wymienienie wszystkich spraw związanych z „warunkami pracy i życia” nauczycieli. Można by tu — przykładowo — dolażyć kwestie sanitarne, szczególnie kłopotliwe w szkołach „terenowych”, które korzystają z izb wynajmowanych u osób prywatnych. Kuratorium posiada dokładny wykaz takich szkół, gdzie brak właściwie... ubikacji! Można sobie wyobrazić, jak wygląda otoczenie tego rodzaju budynków. Cała ta sprawa dotyczy zresztą w pierwszym rzędzie dzieci i młodzieży. Ostatnio w każdym powiecie został powołany podinspektor BHP, który ma nawet prawo zamknięcia szkoły.

Problemów z zakresu warunków socjalno-bytowych szkolnictwa dąłoby się, oczywiście, wymienić więcej. Jeśli ókwiła z nich zasygnalizowałem, to dlatego, że stały się ostatnio obiektem rzeczowej analizy kompetentnych władz i że są podjęte konkretne przedsięwzięcia oraz zabezpieczone odpowiednie środki finansowe dla zneutralizowania sytuacji nienormalnej na tym odcinku.

Władze wojewódzkie oraz Kuratorium i Zarząd Okręgu ZNP opracowały i zatwierdziły „Program poprawy warunków socjalnych pracowników szkolnictwa w okręgu lubelskim na lata 1971—1975”. Jest to szczegółowy plan, gdzie obok spraw mieszkaniowych wymienia się szeroko kwestie zdrowia i wypoczynku, żywienia, budownictwa socjalnego i pomocy materialnej... Jest to przy tym plan nadzwyczaj konkretny, operujący terminami, a nawet nazwiskami pracowników odpowiedzialnych za jego wykonanie. Niezależnie od kłopotów, jakie mogą wyniknąć w trakcie realizacji tych zamierzeń, owa konkretność poszczególnych propozycji musi cieszyć.



Zdjęcie autora.

## Miasto młynów królewskich

Mieczysław Targoński

**D**UZO wody upłynęło w rzekach, zanim pochylony nad zarzami człowiek wypadł na pomysł wykorzystania siły płynącej wody do obrótu koła i nauczył się budować młyny. Sztukę tę znali starożytni Rzymianie już 120 lat przed naszą erą. Do Polski dotarła dopiero przy końcu XII stulecia. Pierwszy znany nam przywilej na budowę młynów pochodzi z roku 1244.

Szczególnie dogodnie warunki do rozwoju młynarstwa posiadał Lublin, położony w ramionach trzech rzek: Bystrzycy, Czerniejówki i Czechowki. Był to dawny i w tym czasie największy i szeroki. Największą z nich — Bystrzycę odznaczała się bystrym nurtem. Ze względu na stan wód i warunki topograficzne dzieje młynarstwa na tym terenie związane są nierozłącznie z historią miasta. Gdy Władysław Łokietek wydał 35 sierpnia 1317 roku słynny przywilej lokacyjny, między innymi nadał wójtom lubelskim prawo zakładania młynów „ile tylko zdoła pobudować na rzekach w granicach miasta”.

Królowie byli niezwykle zainteresowani lubelskim młynarstwem i przywiązywali do tego przemysłu duże znaczenie. Świadczy o tym następujący fakt. W roku 1342 Kazimierz Wielki sprzedał za 140 grzywien praskich mieszczaninowi mogunczkiemu, Franciszkowi, wójtostwo lubelskie, obejmujące wsi: Bronowice i Konopnicę oraz młyny i koła, z wyjątkiem młynów posiadanych lubelskim, który zachował dla siebie. Ten sam król zezwolił młynarzowi lubelskiemu Mikołajowi wybudować w roku 1358 „na prawie dziedzińskim” dwa młyny: na stawie królewskim i pod zamkiem lubelskim.

O młyny ubiegali się liczni panowie, właściciele rozległych latyfundiów, nawet opaci. W r. 1396 mieszczanin lubelski Peccz odstąpił młyn i sadzawkę pod Lublinem opatowi klasztoru Lysogórskiego. Jako curiosum można uznać wydarzenie, które zdarzyło się w roku 1456. Była to zamiana wsi Poniegnowa na młyn w wsi Chłopolie. Tej niezwykłej transakcji dokonali: Bogusław z Poniegnowy z Janem ze Szrekecin, stolnikiem sandziemińskim i starostą lubelskim (Jan ze Szrekecin dopłacił 50 grzywien).

Wysoko oceniono młyny w dawnej Polsce i niełatwo było uzyskać przywilej na budowę nowego. W celu zdobycia takiego zezwolenia powoływano się na stare przywileje. Nie każdemu, oczywiście, one przysługiwały. Odwoływanie się do królewskich dekretoów nie zawsze pomagało, gdyż prawo w Polsce było „jak pajęczyna”. Tak głosił niedługo przysłowie.

W roku 1538 król Zygmunt I pozwolił rajcom lubelskim na zbudowanie własnego młyna na rzece Bystrzycy, uważając to jako wynagrodzenie za ofiarę, którą mieli ponosić dla spraw publicznych. W roku 1540 król zezwolił radzie lubelskiej na wykup młyna od rajcy Jana Domrada.

W roku 1541 rajcy lubelscy otrzymali powtórnie przywilej na budowę młyna. Miał on stać obok rurhauzu („circa molendinum cannallium”). Z tego młyna rajcy otrzymywali jedynie trzecią miarkę, król zaś — dwie.

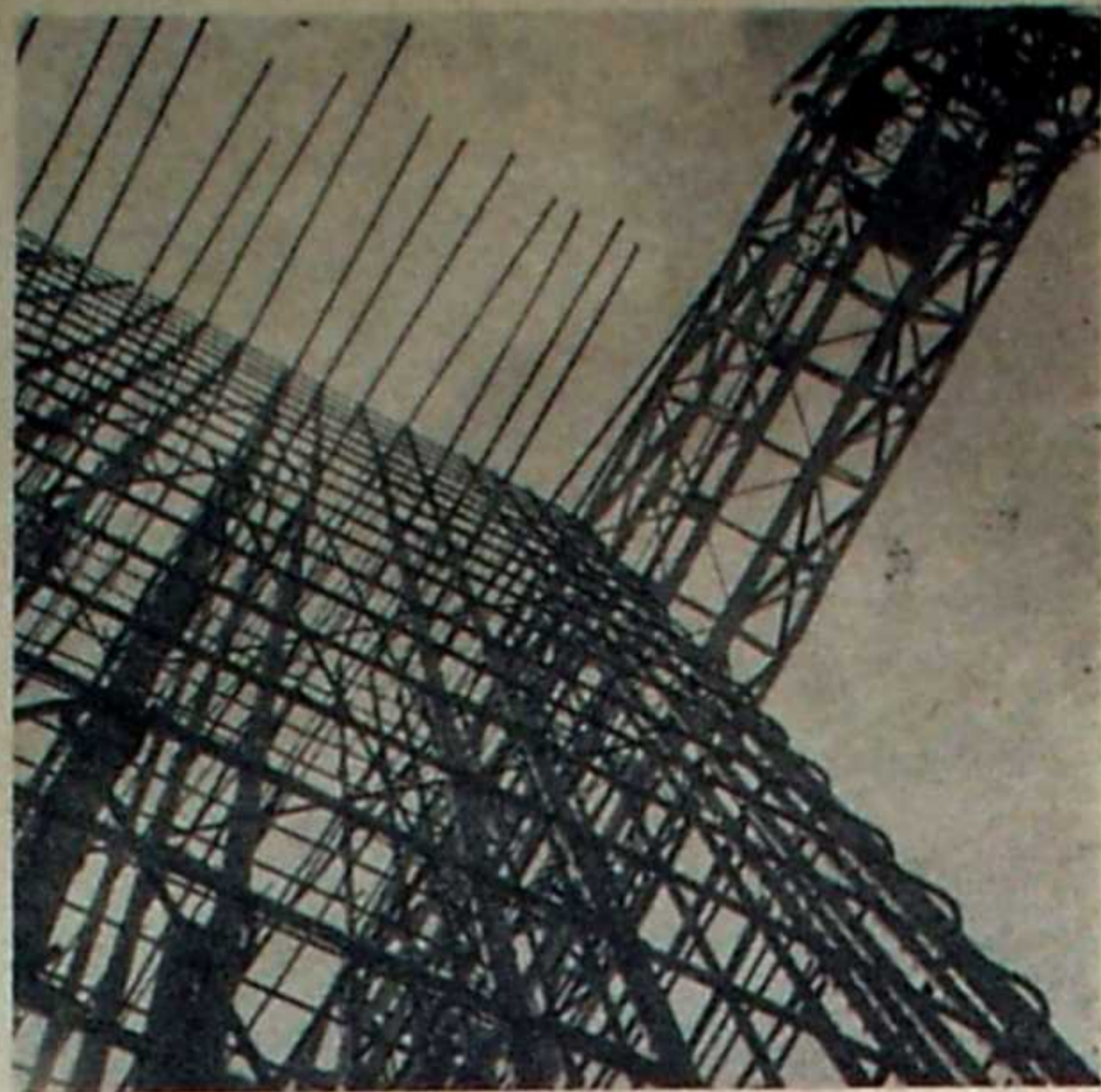
Podczas ubiegania się o prawo do budowy nowego młyna rajcy powoływali się na przywilej lokacyjny z 1317 roku. Po wykupieniu wójtostwa należał się im priorytet. Ale sprawa natrafiła na opór ze strony dzierżawcy młynów królewskich, Jakuba Osmólskiego, wstąpił on proces mieszczanom lubelskim, wskazując na straty, jakie mógłby ponieść, gdyby planowana inwestycja doszła do skutku. Król jednak rozstrzygnął spór na niekorzyść mieszczan (w r. 1545), pozwalając im na budowę młyna, ale pod warunkiem wykupienia starych młynów, dzierżawionych przez Osmólskiego.

Warunek był trudny do spełnienia. Nie więc dziwnego, że mieszczanie, nie zważając na dekret, wybudowali nowy młyn, ale nie przejęli starych. Wtedy król nakazał „mieścić młyn wodny, zbudowany na wodzie sprowadzanej kanałem z rzeki Bystrzycy i zwanej rurną”.

W 12 lat później król Zygmunt August pozwolił Maciejowi Kasprowicowi na wybudowanie młyna, przetrac wójtostwo do chody starostwa. Młyn ten o trzech kołach miał powstać „pod spustem stawu Wrotkowskiego”. Kasprowiczowi i jego żonie zezwolono korzystać ze wszystkich dochodów na prawie dożywotnim. Następnie król miał wykupić młyn od sukcesorów i stać się jego właścicielem.

W drugiej połowie XVI stulecia istniały w Lublinie 4 młyny. Dochoły z nich dzielono między trzy osoby: króla, starostę i młynarza. Korzyść królewską szacowano na ok. 1800 zł.

W następnym wieku zaczął się upadek miast w Polsce. Lublin nie był wyjątkiem. Ostateczny cios wodnym młynom zadała rewolucja przemysłowa. Wkróczyła ona na ziemie polskie w XIX wieku. Pomimo jednak zwycięstwa wiatru parowego — w dalszym ciągu pracowały w Lublinie młyny wodne na Burażach, Wrotkowie, i Czechowie — aż do okresu międzywojennego.



Fot. A. Polakowski

# Skąd brać te miliardy?

Jerzy Dostałni

**R**OZDYSKUTOWAŁA nam się cała Polska wzdłuż i wszerz. Szukamy przyczyn gruntnego kryzysu, sposobów naprawy tego, co było złe, dróg dalszego rozwoju. Słusznie. Aby w przyszłości działać dobrze, trzeba sobie najpierw zdać sprawę z tego, co było szkodliwe czy nieprawidłowe, co trzeba odrzucić, co poprawić, jakie określić sobie zadania na dziś i na jutro. Trwają więc dyskusje w prasie, telewizji i radiu, na zebraniach i po ich zakończeniu, w pociągach i przy kawiarńskich stolikach.

Stara to prawda, że gdy zjeździe się trzech Polaków to można powiedzieć, że zeszło się trzech najwybitniejszych specjalistów z dziedziny polityki, medycyny i ekonomii. Tym razem jednak politycy nie mają zajęcia. Zasady ustrojowe naszego państwa jak i jego polityka zagraniczna od dawna zyskały powszechną akceptację, czemu nie zaprzeczyły nawet wypadki gruntnowe w swoich największych napięciach. Medycynę, ponieważ ostatecznie wszyscy żyjemy coraz dłużej, możemy dzisiaj pozostawić sobie na boku.

Natomiast najbardziej zażarte dyskusje dotyczą spraw ekonomicznych i to bardzo szeroko pojętych — od zarządzania, przez produkcję, do polityki cen. I znów nie

chodzi tu o pryncypia, których nikt nie podważa, ale o ustalenie strategii na dziś i najbliższe lata, o prawidłową hierarchię celów, które chcemy realizować, o metody i formy realizacji.

Jestem za prowadzeniem szeroziej, szerszej gdy trzeba to i ostrej dyskusji. Cechą dyskusji jest to, że nie każdy zabierający w niej głos musi mieć rację. Gdyby było inaczej, dyskusja nie byłaby potrzebna, a nasze działanie trzeba by było sprowadzić znowu do niemej akceptacji, skąd już prosta droga do ponownego podejmowania autokratycznych decyzji na coraz wyższym szczeblu.

Ale w dyskusjach, które prowadzimy, zaczyna mnie niepokoić coraz bardziej powszechne domaganie się wciąż nowych inwestycji, przede wszystkim inwestycji przemysłowych, które najszybciej dają nowe miejsca pracy i najszybciej się amortyzują. Więc właśnie one są zawsze najbardziej atrakcyjne, w nich widzi się prawie jedyny środek na załatwienie wszystkich problemów.

A przyjrzymy się przez chwilę mapie województwa. Nie chcę przypominać lat poprzednich, kiedy to odrobiliśmy wcale potężny kawał zaległości. Uprytomnijmy jednak sobie, co się u nas w tej chwili buduje: Annapol — filia Huty Stalowa Wola; Bełżec — wytwórnia cegły

silikatowej; Biela Podlaska — zakłady przemysłu wełnianego i fabryka mebli; Chełm — fabryka obuwia i zakłady mleczarskie; Krasnostaw — zakłady przemysłu odcielowego; Lubartów — filia Zakładów Radiowych im. Kasprzaka; Lublin — Fabryka Maszyn Rolniczych, zakłady mleczarskie, rozbudowa FSC łącznie z olbrzymią kotłownią dla obsługi znacznej części miasta; Łuków — zakłady mięsne i baza remontu obrabiarek; Świdnik — rozbudowa WSK; Włodawa — garbarnia skór miękkich; Zamość — zakłady mleczarskie.

To są tylko przykłady, wyjęte z tzw. planu centralnego. Dużo to czy mało? Danie jednoznacznej odpowiedzi nie jest takie proste. Dużo — jeżeli policzyć miliardy złotych, inwestowane w te obiekty. Mało — gdy brać pod uwagę potrzeby. Bardzo mało — po obliczeniu apetytów.

A jaka jest ta najbardziej obiektywna prawda? Myślę, że najpierw trzeba sobie zadać kilka może kłopotliwych, ale przecież koniecznych pytań.

Pierwsze z tych pytań jest pozornie proste, a przecież zawsze konfliktowe: czy z dochodu narodowego wydzielić dalsze środki na inwestycje ograniczając część konsumpcyjną, czy odwrotnie — podnosząc realnie stopę życiową ludności jeszcze bardziej ograniczyć inwestycje? Gdy zaglądamy do własnego, osobistego portfela, opowiadamy się jednoznacznie za polepszeniem warunków życiowych. Gdy występujemy jako działacze odpowiedzialni za określony odcinek produkcji lub wyznaczony administracyjnymi granicami rejon — głosujemy za pierwszą alternatywą. I jak tu wszystkim dogodzić, jeżeli tylko w tej jednej sprawie niemal każdy z nas ma dwie dusze?

Drugie kłopotliwe pytanie dotyczy stabilności planów inwestycyjnych. Zrozumiałe, że zarówno sytuacja międzynarodowa jak i krajowa zawsze będzie powodowała pewne korekty w planach pięcioletnich. Wszystko jednak jest tak długo dobrze, póki są to rzeczywiście tylko korekty. Tymczasem w ubiegłej pięcioletce, a podobnie działo się i w poprzednich, rzeczywiste nakłady były na Lubelszczyźnie o 6,4 mld zł większe niż zakładał plan, co stanowiło ponad jedną piątą tego pierwotnego planu. Decyzje w tych sprawach należały wyłącznie do władz centralnych. Władzom terenowym można tylko podziękować, że nie szczydziły czasu i trudu, aby kolejno dosłownie wywalczać nowe inwestycje.

Trudno jednak nie zauważyć, że ten stan niepewności i ciągłej pogoni wpływał ujemnie na psychikę i działanie wielu ludzi. Rozumowanie było proste: jeżeli tamtemu udało się dostać poza planem nową inwestycję, to czemu mnie ma się nie udać? No i w konsekwencji znaczna część energii pochłaniała „wychodzenie” nowej inwestycji, z oczywistą stratą dla pełnego wykorzystania już istniejących.

Na trzecie pytanie nie będziemy odpowiadali chętnie. No bo samokrytycyzm nie jest naszą narodową cechą. Bardzo lubimy krytykować sąsiadów, nie znośmy ujemnych uwag o sobie.

Jak niedawno obliczył GUS, w roku ubiegłym rozbieżność między planowanymi a rzeczywistymi efektami produkcyjnymi uruchamianych w całym kraju fabryk osiągnęły olbrzymią sumę 8 mld zł. Akumulacja z tej nie wytworzonej, a przecież przewidzianej produkcji mogła wynieść około miliardów złotych. Nie wiem, czy władze wojewódzkie dokonały podobnego obliczenia na naszym podwórku. Ale wiem, że takie właśnie opóźnienia powstały w puławskich Zakładach Azotowych, w cementowni Chełm I, czy krasnostawskiej wytwórni porcelany sanitarnej. Nie bez grzechu są również zakłady przemysłu wełnianego w Białej Podlaskiej — aby ograniczyć się

tylko do największych fabryk. I ostatecznie jest rzeczą obojętną, kogo obciążą odpowiedzialnością: projektantów, inwestorów, budowniczych, różnych dostawców czy użytkowników. Pozostaje fakt ostateczny, którego efekty ciążyą na każdym z nas. A czy ktoś dobrowolnie przyzna się, że ponosi za to chociaż część odpowiedzialności? Jak gdyby rzecz działa się na Księżycu czy zgola na Marsie.

Następnego problemu aż się boję dotknąć. Chodzi o budownictwo. Prawda, że dokonano wielkiego skoku, gdy będziemy podliczać wzrastające miliony tzw. przerobu. Niezaprzeczalną prawdą jednak jest i to, że w ubiegłej pięcioletce z przyznanych nam środków inwestycyjnych nie wykorzystaliśmy 500 mln zł, za co można było zbudować dwie wcale pokaźne fabryki. Jeżeli jednak napiszę, że jakoś budowlanych robót jest wciąż zła, że sprzęt nie jest w pełni wykorzystany, że poważnie kuleje organizacja pracy na placach budowy, że nasza w tej dziedzinie wydajność pracy wlecze się w ogólnopolskim ogonie — to mogę zaraz otrzymać cały plik sprostowań i wylceń, że jest akurat odwrotnie, że winnych trzeba szukać wśród innych uczestników procesu inwestycyjnego itp.

Zasłaniając się jednak autorytatywnymi wypowiedziami ludzi, odpowiedzialnych za naszą wojewódzką gospodarkę, nie mogę powstrzymać się od smętnego zdziwienia, że od lat chyba już piętnastu wciąż nie możemy w pełni opanować tej dziedziny produkcji. Wszystkie przedsiębiorstwa podległe Lubelskiemu Zjednoczeniu Budownictwa oraz Zjednoczeniu Budownictwa Rolniczego posiadają już nowoczesne bazy techniczno-produkcyjne. A mimo to niedobór ich mocy przerobowej w ubiegłej pięcioletce wyniósł ponad 600 mln zł. Teraz stanęły przed nimi poważne zadania dodatkowe w budownictwie mieszkaniowym. Czy stałe podrażnianie im wciąż nowych zadań inwestycyjnych jest realne?

Z kłopotliwych problemów chcę wskazać na jeszcze jeden. Należy do województw o najniższym procencie zaludnienia na kilometr kwadratowy. Osiągnęliśmy właśnie wskaźnik — 79 osób — jaki przeciętnie dla całego kraju był w roku 1949, a który aktualnie jest pięć razy mniejszy niż w woj. katowickim. A jednocześnie liczba ludności zawodowo czynnej w rolnictwie na 100 ha użytków rolnych wynosi w kraju 32 osoby, na Lubelszczyźnie zaś aż 41. Sprzeczność jest pozorna, a to dość niezwykłe zjawisko wynika z dwóch przyczyn. Pierwsza — mały wciąż stopień urbanizacji, druga — bardzo duże rozdrobnienie gospodarstw chłopskich. Staba urbanizacja jest, oczywiście, wynikiem małego jeszcze uprzemysłowienia naszych miast. Przyczyną rozdrobnienia gospodarstw są znacznie bardziej skomplikowane, a sięgają zarówno w dziedzinę prawa państwowego jak i zwyczajowego.

Już i tak mamy największą w kraju — bezwzględnie i procentowo — liczbę małych gospodarstw rolnych. W praktyce jest jeszcze gorzej. W wojewódzkich biurach notarialnych notuje się rocznie około 2 tys. transakcji kupna i sprzedaży lub darowizn działek, ale chyba dziesięć razy więcej dokonuje się nieoficjalnie. Małe działki też potrzebują ludzi do uprawy, tyle że wydajność tych ludzi na ograniczonej powierzchni nie może być z oczywistych względów efektywna.

Oto kilka tylko problemów, czekających na rozwiązanie. Nikt w pojedynkę nie jest w stanie tego rozsądnie zaproponować. Dlatego potrzebne są dyskusje. Dlatego potrzebne powoływania komisji ekspertów, także na szczeblu wojewódzkim i powiatowym.

Wysuwając opinie, proponując wnioski, musimy jeszcze pamiętać i o tym, że ani Lubelszczyzna, ani żadne inne województwo nie żyje samo z siebie i samo dla siebie.

Tworzymy jeden wspólny organizm, w którym każdy rejon kraju spełnia swoją własną, specyficzną funkcję. Ale żadna z tych funkcji nie może odbywać się samodzielnie, lecz składa się na koniecznie całość tego, co nazywamy życiem całego narodu i państwa.

Myślę, że w obliczu wciąż mnożących się zadań inwestycyjnych — w każdym poszczególnym przypadku zapewne uzasadnionych, w same jednak niemożliwych do szybkiego zrealizowania — trzeba jeszcze na jedną rzecz zwrócić uwagę. W ostatnich tygodniach rząd podjął szereg decyzji o kapitalnej dla całego państwa wadze — o rozbudowie przemysłu motoryzacyjnego (nie tylko samochodów osobowych), budowie sieci autostrad, generalnej modernizacji kolei, znacznym rozszerzeniu budownictwa mieszkaniowego przy zastosowaniu nowych normatywnych powierzchniowych urbanistycznych, prowadzeniu szerokim frontem rozbudowy urządzeń gospodarki komunalnej, niemal dwukrotnym w najbliższym pięcioletcu zwiększeniu nakładów na naukę.

To tylko przykłady. Wystarczy chwila zastanowienia się, aby dojść do wniosku, że to wszystko będzie kosztowało dziesiątki miliardów złotych. Ale bez tych podstawowych inwestycji niemożliwy jest dalszy rozwój kraju. Część z tych środków, trudno dziś powiedzieć jaka, trafi i do naszego województwa. Jednak rozmieszczenie tych inwestycji musi przede wszystkim uwzględniać interes całego kraju i te właśnie inwestycje muszą korzystać z bezwzględnego priorytetu. A przecież taki sam priorytet daliśmy jeszcze wcześniej sprawie pełnego zaopatrzenia rynku oraz zagadnieniom socjalno-bytowym.

Myślę więc, że zanim zaczniemy wysuwać dalsze propozycje inwestycyjne, powinniśmy najpierw dokonać rzetelnego rachunku — nie przecząc potrzebom — czy te inwestycje są rzeczywiście bezwzględnie potrzebne, czy są możliwe do wykonania. Lepsza jest twarda prawda niż mszczące się potem z lichwiarskim procentem słodkie kłamstwo.

W takiej właśnie atmosferze, gdy mówiono prawdę a odrzucono kłamstwo, stocznicywoy odpowiedzieli jednomyślnie Edwardowi Gierkowi: pomóżmy. I pomogli. W ślad za nimi górnicy i hutnicy, a potem cały naród. Społeczeństwo obdarzyło nowe kierownictwo pełnym kredytem zaufania. Wymienione wyżej decyzje władz, a wcześniej jeszcze podniesienie najniższych płac i emerytur, widoczne dla wszystkich polepszenie w zaopatrzeniu rynku czy wiele innych faktów, świadczą, że kierownictwo partii i rządu ten kredyt spłaca. I to z nadwyżką, cofając grudniową podwyżkę cen artykułów żywnościowych przy pozostawieniu obniżonych cen na artykuły przemysłowe.

Cofnięcie tej podwyżki było możliwe — jak wiemy — dzięki braterskiej pomocy Związku Radzieckiego. Ale zaciągając pożyczkę, którą przecież trzeba będzie spłacić, nowe kierownictwo z kolei udzieliło kredytu zaufania nam wszystkim. Ten kredyt polega na przekonaniu, że my wszyscy swoją rzetelną pracą, rzeczywiście konstruktywnym działaniem poprzemy program społeczno-gospodarczy, sformułowany w wtyczkach VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR.

Najważniejszą obecnie rzeczą — mówił na tym Plenum I sekretarz KC — jest konsekwentna realizacja tego programu. Niechaj wokół niego ogniskuje się inicjatywa i twórczy wysiłek ludzi pracy, robotników i inżynierów, nauczycieli i uczonych, specjalistów wszystkich dziedzin.

Zmiany, zapowiedziane w wtyczkach VIII Plenum i już częściowo zrealizowane, sięgają bardzo głęboko. Od innego niż dotąd podziału

# Federacja niecierpliwych

Dokończenie ze str. 1

Dlaczego do tego doszło, trudno precyzyjnie odpowiedzieć w publicystycznej refleksji pozajądowej. Jedną z przyczyn obojętności młodych wobec regionalizmu widzimy przecież dość wyraźnie i choć opisanie jej wzbudzi zapewne kolejną falę protestów upiętych na kanwie tzw. miłości regionu, spróbujemy

wydobyć ją — z szerszego kontekstu społeczno-kulturowego.

Sztuka ludowa czy w ogóle folklor zawsze określały główne zainteresowania lubelskich regionalistów, pochodzących przede wszystkim z warstwy inteligencji, konkretnie z nauczycielstwa. Tacy ludzie, jak Janusz Świerzy czy Henryk Zwolakiewicz, jak Aleksander Oleszczuk czy Jan Bownik — położyli wielkie zasługi dla ochrony i społecznej ekspozycji kultury ludowej. W tej swojej dobrej robocie kierowali się ideami narodowego przetrwania i wyzwolenia, ukształtowani w

w okresie romantyzmu i Młodej Polski. Te idee funkcjonowały również w dwudziestolecie międzywojennym, choć siłą rzeczy, w zmiennej już postaci. Dawniejsze przekonanie o kulturze ludowej jako skarbnicy najcenniejszych wartości narodowych, cementujących naród, wymieniło się częściowo na żywe zainteresowanie obyczajem, pieśnią, malarstwem i rzeźbą ludzi tworzących na wsi. Pobudzone i racjonalnie uzasadnione nieklamany autentyzmem ówczesnego folkloru, niemal bez reszty określiło charakter regionalizmu Lubelszczyzny, regionu rolniczego, w nikłym stopniu zurbanizowanego. Na takim modelu — programowo zakładającym kulturowe lokalne odrębności — odrodził się regionalizm po ostatniej wojnie, według tego wzorca reaktywowano go po roku 1956, dodając, czy może raczej pogłębiając, kierunek na gromadzenie dokumentów historycznych i archeologicznych.

Czy model ten obowiązuje nadal? Tylko częściowo, tylko częściowo — odpowiedziałyby zapewne Towarzystwo Regionalne Hrubieszowskie, Towarzystwo Przyjaciół Puław, Sto-

warzyszenie Miłośników Ziemi Chełmskiej. Tymczasem wojewódzki zjazd regionalistów toczył się w dekoracji rzeźby ludowej, malarstwa „nałwonego” i amatorskiego, wydawnictw o tematyce historycznej, koncertów kapeli włościańskiej im. Namysłowskiego i zespołu pieśni i tańca z Końskowoli pod kierownictwem Walczakowej, w barwie i dźwięku dokumentalnego filmu chełmskiego AKF, poświęconego ludowemu weselu. Geograficzne okoliczności, śmieły przypuszczając, umocowały w tej znaczącej otoczce przedstawienie zawodowego zespołu teatralnego „Azotach”, swą postawą twórczą bliższego „Laboratorium” Grotowskiego.

Tradycyjna kultura ludowa w nikłym dziś stopniu interesuje młodą pokolenia, nieważliwa na jej wdzięki jest przede wszystkim młodzież małopolszczakowa, zapatrzona we wzorce kultury zurbanizowanej: sprawa to na tyle oczywista, że nie wymagałaby chyba bliższego uzasadnienia i dowodów rzeczowych.

Niewiele miast powiatowych Lubelszczyzny, nie mówiąc już o

mniejszych środowiskach, stworzyło młodzieży realne możliwości spełnienia osobistych aspiracji życiowych; atmosfera „stacji przelotowych” nie sprzyja narodzinom emocjonalnie dodatnich związków jednostki z otoczeniem — najbardziej żywno podłoża każdego regionalizmu, rozumianego jako uczestnictwo społeczne.

Przypuszczamy, że m. in. te momenty zepchnęły regionalizm lubelski na pozycję niedostrzegalne przez ludzi młodych. Pokoleniową izolację towarzystw regionalnych uważamy przy tym za zjawisko szczególnie groźne dla dalszych losów całego ruchu. Kto bowiem zmieni wysłuchaną kadre starych działaczy, kto zdynamizuje regionalizm na miarę potrzeb współczesnego życia?

Owszem, niektóre towarzystwa radzą sobie dość dobrze z owymi potrzebami współczesności bez pomocy ludzi młodych, w czym zasługa indywidualności o znacznej wrażliwości społecznej, wrażliwości jako nieustająca młodość, choćby takiej, jaką reprezentuje Wincenty Piątek, prezes Towarzystwa Regionalnego Hrubieszowskiego; jego postać, do-

dochodu narodowego, przez znaczne zwiększenie wydatków na cele socjalno-bytowe, przez lepsze zapatrzenie rynku do stopniowych, a także już przeprowadzonych zmian strukturalnych w postaci np. prawidłowego podziału kompetencji, zwiększenia uprawnień ministerstw i terenowych rad narodowych.

Wielu ludzi, szermując szczytnymi hasłami demokracji socjalistycznej, bardzo chętnie zabiera się do krajania bochenka dochodu narodowego. Ale przecież, zanim się do tego krajania zabierzemy, trzeba ten bochenek upiec, a jeszcze przedtem mieć mąkę. I o tej mące dziś przede wszystkim trzeba myśleć.

Aby jednak tę mąkę zdobyć, trzeba — że posłużę się tu stwierdzeniem premiera Jaroszewicza na ostatnim posiedzeniu Sejmu — powołać do życia stowarzyszenie żelaznego reżimu oszczędnościowego. Naruszenie podstawowych proporcji podziału dochodu narodowego, jakie teraz przyjęliśmy zarzucając poprzednie ograniczenia poprawy sytuacji materialnej całego społeczeństwa, musiałoby doprowadzić nieuchronnie do zachwiania tych proporcji. A w konsekwencji do zarzucenia programu poprawy bytu całego społeczeństwa. Do tego zaś chyba nie chcemy dopuścić.

Jeżeli tak, to wróćmy znów do spraw inwestycji. Rozumiem, że istniejący, a nawet narastający w naszym województwie nadmiar rąk do pracy domaga się możliwie szybkiego rozwiązania. W uchwale XIII Wojewódzkiej Konferencji PZPR czytamy: *Złagodzenie trudnej sytuacji w zatrudnieniu szczególnie kobiet, głównie w takich ośrodkach jak Lublin, Zamość, Świdnik, Puławy, m.in. przez budowę nowych zakładów przemysłu elektromaszynowego, chemicznego, lekkiego i rolno-spożywczego oraz stworzenie dotychczasowym warunków wzrostu zatrudnienia drogą poprawy współczynników zmianowości i likwidacji przyczyn ograniczających rozmiary produkcji w już istniejących zakładach.*

No właśnie — nie tylko drogą inwestycji. Możemy być pewni, że władze, wspomagane grupami ekspertów jak i świadome środków, jakie można na te cele przeznaczyć, zrobią wszystko, aby zaprojektować i zrealizować najpełniejszy wachlarz potrzebnych inwestycji.

Czy w praktyce rzeczywiście wykorzystujemy wszystkie inne, poza inwestycjami, środki aktywizacji gospodarczej i zwiększenia zatrudnienia? Współczynnik zmianowości w przemyśle lubelskim jest zdecydowanie niższy od wskaźnika ogólnopolskiego. Ale jeżeli odsuniemy na bok zakłady, w których z konieczności technicznych musi być utrzymany ruch ciągły, to okaże się, że wiele, bardzo wiele, zakładów pracuje tylko na jedną zmianę, że bardzo cenne maszyny wykorzystywane są po kilka godzin dziennie, starzeją się technicznie zanim nadejdzie granica amortyzacji.

O sprawie półetatów dla kobiet mówi się od lat kilku i to tylko w stosunku do handlu. Jak dotychczas, handel skutecznie się przed tym obronił, co oplacają klienci wiecznym wystawianiem w kolejkach, a często i rezygnowaniem z zakupów. Ostatnio coraz głośniej mówi się o takich półetatach na poczcie, przy robieniu miesięcznych bilansów i sprawozdań w przedsiębiorstwach, a także w produkcji — rozumiejąc te półtaty nie tylko jako arytmetyczny podział pracy na cztery godziny dziennie.

O szerokich możliwościach pracy chałupniczej pisałem w połowie marca. Wielkie możliwości stwarza rozszerzenie sieci usług, których dotkliwy brak odczuwa zwłaszcza rolnictwo. Zresztą w miastach też występuje ostry brak niektórych usług, od przysycia guzika do mniej lub więcej skomplikowanej naprawy samochodu.

Konkretnych możliwości w terenie można znaleźć więcej. Trzeba się tylko dobrze rozglądać, rozszerzyć inicjatywę i pole podejmowania decyzji.

dajmy przy okazji, przedstawiliśmy na lamach „Kamena” dwa lata temu. Jak dotąd, nie widać jednak następów tych działaczy regionalnych z prawdziwego zdarzenia.

Na wstępie artykułu „O ekshumację regionalizmu”, poprzedzającego zjazd w Naleczewie, jego autor zwrócił uwagę na powtarzające się wciąż pytanie — m. in. na lamach prasy lubelskiej — co regionaliści powinni robić, a czego unikać? Pytanie to jeszcze raz wróciło na salę obrad ostatniego zjazdu, postawione przez dr. Markiewicza z Bilgoraja, który nie formułując konkretnej odpowiedzi określił przecież wyjątkowo trafnie rolę regionalizmu, przytaczając jedynie kilka inicjatyw działaczy z tego miasta, między innymi przypomnienie komu należy o konieczności założenia świetlicy w zakładach „Mewa”, nie uwzględnionej w projekcie obiektu. *My wychodzimy z inicjatywami, proponujemy coś wiodącym, zwracamy ich uwagę na konkretne sprawy, po prostu dokuczamy wiodącym, widząc w tym naszą podstawową rolę — powiedział dr. Markiewicz.*

# Nasz przyjaciel z Ołomuńca

Na ostatnim II Międzynarodowym Zjeździe Tłumaczy Literatury Polskiej Czechosłowację reprezentowała liczna grupa pisarzy, poetów, wykładawców z wyższych uczelni, a zarazem tłumaczy literatury polskiej na język czeski i słowacki. „Kamena” poprosiła o chwilę rozmowy czeskiego polonistę docenta dr. Jerzego Damborskiego, wykładawcę Uniwersytetu im. Pałackiego w Ołomuńcu.

— Kiedy dziś przeglądam swój skromny co prawda jescze dorobek polonistyczny, z pewnym zdumieniem stwierdzam, że w roku 1971 obchodzę niejako podwójny jubileusz, a mianowicie 25-lecie rozpoczęcia studiów slawistycznych na Uniwersytecie Karola w Pradze (m. in. u znanego polonisty prof. Karola Krejczygo) oraz 20-lecie pracy zawodowej, rozpoczętej w roku 1951 w Polsce na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Studia slawistyki rozpocząłem z prawdziwego umiłowania języków słowiańskich. W okresie bezpośrednio po wojnie był to do pewnego stopnia również wyraz afirmacji wszystkich doniosłych zmian, po wojnie w naszych państwach. Moją orientacją w kierunku filologii polskiej została szczególnie mocno podbudowana poprzez roczne stypendium, które przyznane zostało mi w 1948 roku przez rząd PRL. Ten fakt ostatecznie zaważył — jeśli można tak powiedzieć — na mojej karierze naukowej i zawodowej.

Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że skierowano mnie w roku akademickim 1948/49 na Uniwersytet Jagielloński i to właśnie w okresie, kiedy ośrodek krakowski utrzymywał swoją wiodącą pozycję w językoznawstwie polskim, uprawianym w tym czasie przez profesorów K. Nitscha, T. Lehra-Splawińskiego i Z. Klemensiewicza. Wysoki poziom nadawali wówczas filologii polskiej również historycy literatury, profesorowie J. Kleiner, S. Pigoń i K. Wyka. Czy można zatem wyobrazić sobie bardziej sprzyjający los od tego, który mnie spotkał, dając mi możliwość zapozna-

nia się ze słynną krakowską szkołą językoznawczą, cieszącą się uznaniem nie tylko w Polsce, ale i w całej Słowiańszczyźnie, przede wszystkim zaś w Czechosłowacji. Nie jest chyba przejawem zarozumiałstwa, tym mniej kurtuazji, z mojej strony, że mój dorobek polonistyczny bezpośrednio lub pośrednio z tą szkołą pozostaje w bliskim związku.

Podczas drugiego swojego pobytu w Polsce „terminowałem” w latach 1951-1952 w ośrodku poznańskim, zbierając materiały do pracy doktorskiej i rewolucyjnym poecie Wiosny Ludów — R. Berwińskim i pełniąc jednocześnie funkcję lektora języka czeskiego. Miło mi stwierdzić, iż moja edukacja polonistyczna przebiegała nadal pod szczęśliwymi gwiazdami, gdyż w tym czasie pracowałem w uczelni poznańskiej kilku wybitnych językoznawców, np. profesorowie M. Rudnicki, S. Urbańczyk oraz nieodżałowany Stefan Vrtel-Wierczyński, co prawda nie będący językoznawcą, tylko bibliografem i badaczem stosunków polsko-czeskich oraz znakomitym znawcą literatury i kultury czeskiej. Był on jednocześnie moim przełożonym, z niesłychaną wręcz życzliwością pomagający mi w zbieraniu materiałów do pracy.

I trzeci pobyt w Polsce, chyba najbardziej owocny i zarazem najdłuższy, bo trwający prawie 6 lat (1960-1966), związany jest z Uniwersytetem Warszawskim, który również wytworzył własną szkołę, potocznie zwaną szkołą Doroszewskiego. U profesora Z. Stebera, światowej sławy uczonego-slawisty, w katedrze którego pracowałem ja-

ko lektor języka czeskiego, habilitowałem się z filologii słowiańskiej. Fakt tym bardziej ważny dla mnie, gdyż chyba jako pierwszy zagraniczny polonista w ogóle.

Po powrocie w 1966 roku do Czechosłowacji zostałem skierowany do katedry slawistyki na Uniwersytecie im. Pałackiego w Ołomuńcu, która ma własną sekcję polonistyczną, obchodzącą w 1971 roku swoje dwudziestopięcioletnie. Prowadzę zajęcia przeznaczone dla wszystkich studentów filologii polskiej, szczególnie z polskiej gramatyki historycznej i opisowej, stylistyki, interpretacji tekstów oraz przeglądu i charakterystyki języków słowiańskich. Naturalnie utrzymuję ciągłe wielostronne kontakty z Polską, z ośrodkami naukowymi, z redakcjami pism, z profesorami i jakże licznymi przyjaciółmi, niekiedy także tylko kolegami po fachu.

Ze swojego dorobku naukowego — jeśli przypomnienie go nie będzie mi pocztywane za nieskromność — wymienilibym dwie monografie książkowe, z których jedna — jest to moja praca habilitacyjna — wyszła w PWN w Warszawie, druga w czeskim wydawnictwie SPN w Pradze. Zarówno jedna jak i druga, będąc, można rzec, pierwszym i drugim tomem większej całości, dotyczą budowy gramatycznej języka polskiego na szerokim tle słowiańskim. W 1970 roku w warszawskim PWN wydano moją gramatykę języka czeskiego. Jest to właściwie podręcznik przeznaczony dla szerokiego ogółu ludzi interesujących się językiem czeskim, szczególnie zaś dla młodzieży studiującej bohemistykę oraz dla studentów filologii polskiej i słowiańskiej. W tymże 1970 roku złożyłem w wydawnictwie „Wiedza Powszechna” maszynopis samouczka języka czeskiego, który znajduje się już w opracowaniu redakcyjnym. Poza tym zamieściłem kilkadziesiąt artykułów, recenzji i notatek o międzysłowiańskich kontaktach językowych, wyrazach obcych,

typologii polszczyzny na tle innych języków słowiańskich — głównie w czeskosłowackich i polskich pismach naukowych.

W chwili obecnej pracuję nad nowym polsko-czeskim słownikiem, który ma zastąpić wprawdzie popularny, ale mocno już przestarzały (napisany został przed wojną) „Słownik” Vydry. Nowy słownik ma być jednocześnie konkretnym wyrazem współpracy naukowej między czeskim polonistami i polskimi bohemistami, albowiem przygotowany jest w koprodukcji praktycznego wydawnictwa SPN oraz warszawskiej WP. Polska strona opracowuje pod redakcją doc. Siatkowskiego część czesko-polską. Praca jest bardzo interesująca, chociaż niesłychanie żmudna, gdyż pochłania mój cały wolny czas. A tego, niestety, jest bardzo niewiele, bo od kilku lat poza Ołomuńcem prowadzę jeszcze zajęcia na Wydziale Pedagogicznym w Ostrawie, gdzie kształcą przyszłych nauczycieli dla szkół w Czechosłowacji z polskim językiem nauczania (na Śląsku Cieszyńskim). No i oprócz tego praca nad przekładami.

Tłumaczeniem z polskiego zajmuję się dość długo, czy to jako tłumacz różnych delegacji, czy też jako tłumacz literatury, przede wszystkim społeczno-politycznej. W tym roku grana będzie przez młodzieżową scenę Teatru im. Słibora w Ołomuńcu sztuka E. Niziurskiego „Wakacje z intruzami” w moim przekładzie i w tym samym roku powinno się ukazać moje tłumaczenie interesującej książki K. A. Dobrowskiego „Jak latają zwierzęta”, również dla młodzieży. Są i inne propozycje, co do których na razie nie chciałbym się wypowiadać, gdyż często od pomysłu do realizacji droga jest nieraz zawiła.

Niemniej jednak chciałbym zdradzić jedno z moich zamierzeń, które jak najciszej związane jest z Polską, a mianowicie z mającym się odbyć w Warszawie w 1973 roku VII Międzynarodowym Kongresem Slawistów. Przygotowuję książkę z zakresu słownictwa i słotwotwórstwa polskiego i byłbym niezmiernie ucieszony, gdybym publikację tę mógł wręczyć na Zjeździe gospodarzom Kongresu, moim polskim nauczycielom i przyjaciółom.

Na zakończenie chciałbym wyrazić swoją radość z możliwości wzięcia udziału w II Zjeździe Tłumaczy Literatury Polskiej w Warszawie, będącym niejako przedłużeniem i zamknięciem mojego pobytu w Polsce od sierpnia na kursie dla slawistów, na który zaproszony zostałem dzięki uprzejmości Uniwersytetu Warszawskiego. Nie muszę chyba podkreślać, ile z tych pobytów wyniosłem, o ile wzmochny się moje serdeczne uczucia dla Warszawy, dla narodu polskiego i dla Polski.



Fot. M. Wigor

Filip Ratkowski

List

Kolchida nieporuszona

Odwiedzam lustro — w głębi las i rzeka  
list niespodziany.  
Czemu Pani pisze,  
że lato było jak zamknięte w dzbanie,  
z którego mleko na niebo wypływa  
przez lustro?

Wiatr poszedł przodem — cichną lodzie,  
zatoka jak srebrna łyżka.  
Rozważni i pokornego serca  
delikatnie manewrują wiosłem  
w obawie przed dziejową kompromitacją.

Kraków

Ten właśnie model regionalizmu uważamy za najbardziej uzasadniony interesem społecznym i warunkami chwili, w której żyjemy zdając sobie sprawę, że określona sytuacja społeczno-kulturalna danego terenu, jego faktyczne potrzeby, mogą i powinny model ten poszerzać o inny typ działań: nie tyle wywręczających istniejące instytucje społeczno-kulturalne, co zmierzających do racjonalnej z nimi współpracy.

Dyskusja zjazdowa, mimo że nieco sprawozdawcza i miejscami deklaratywna, zarysowała kilka problemów istotnych dla ruchu regionalnego Lubelszczyzny, których rozwiązanie i podjęcie może ułatwić stowarzyszeniom uzyskanie odpowiedzialnej siły działania, a tym samym zwiększyć czy odbudować ich autorytet społeczny, w poszczególnych przypadkach — zgodny się z tym w końcu — mocno nadwątlony. Przedstawił je m. in. dr Stefan Bukskiński z Puław, który w licznych rejestrze postulatów akcentował rolę stowarzyszenia jako łącznika między społeczeństwem a władzami, inspirowania pracy kulturalno-oświatowej, organizacji lansują-

cej określony model współczesnego Polaka, a przy tym harmonijnie łączącej tradycję ze współczesnością.

Zresztą wszystkie postulaty, obserwacje, wątpliwości i nadzieje, wyrażone w czasie obrad zjazdu przez jego uczestników, zsumowane trafiły na wcale obszerną listę wniosków, których racjonalność, szeroki zakres problemowy i konkretność nie ma chyba precedensów w historii regionalizmu Lubelszczyzny. Zmuszeni jesteśmy przy tym zauważyć — spowodowani niejako cierpkim przyjęciem przez przedstawicieli towarzystw artykułu „O ekshumację regionalizmu”, który jakoby odbiegał swoją treścią od rzeczywistości — że spora grupa podstawowych wniosków, przyjętych przez zjazd, wykazuje zaskakującą zbieżność merytoryczną z analizami, ocenami i sugestiami zawartymi w publikacji „Kamena” z 28 marca br. Wnioski zalecają: rewizję statutów stowarzyszeń w celu dostosowania ich do zmieniających się potrzeb współczesnego życia społecznego; podejmowanie najbardziej cennych inicjatyw, związanych z charakterem regionu, co może pod-

nieść autorytet towarzystw; apelują do władz, organizacji i instytucji o życzliwy stosunek do stowarzyszeń; zwracają uwagę na konieczność przyciągnięcia młodzieży do ruchu... Te wszystkie sprawy zostały dość mocno poruszone w artykule — w trybie zmierzającym do bliźniaczo podobnych konkluzji.

Trzeba też przypomnieć, że najważniejsza pod względem konsekwencji organizacyjnej, nie tylko zresztą pod tym względem, uchwała zjazdu o powołaniu federacji stowarzyszeń regionalnych i społeczno-kulturalnych Lubelszczyzny, została wyprzedzona identyczną treścią sugestii, kończącej artykuł „O ekshumację regionalizmu”, traktujący o regionalizmie w randze siły społecznej, będącej autentycznym wyrazem i narzędziem opinii publicznej.

Ostatni wniosek zjazdu adresowany był m. in. do prasy lubelskiej, która — zdaniem niektórych dyskusantów — zbyt mało miejsca poświęca problematyce regionalizmu. Można by więc przypomnieć wydania specjalne i zakres odpowiedzialnych publikacji w „Kamencie”,

przygotowanych na wszystkie zjazdy stowarzyszeń regionalnych Lubelszczyzny, można by przedstawić rejestr wszystkich artykułów o tematyce regionalnej i samego regionalizmu dotyczącej, autoryzowanych czasami przez działaczy z miast powiatowych, choćby przez Józefa Łulka z Lubartowa, człowieka wybitnie zasłużonego dla tego ruchu społecznego. Zamiast jednak tej bezpotrzebnej czynności chcemy jedynie stwierdzić jednoznacznie, że regionalizm pojmujemy jako publicystyczne podejmowanie istotnych problemów życia społecznego, kulturalnego i gospodarczego województwa, zarówno współczesnych, przede wszystkim, jak i historycznych. Taka służba regionalna wydaje nam się znacznie bardziej owocna, niż bezustanne analizowanie zagadnień organizacyjno-ideowych stowarzyszeń regionalnych choćby. Przy tym zaś liczymy właśnie na szeroką współpracę autorską i inspirującą samych działaczy regionalnych Lubelszczyzny.

# Potrójne święto artystyczne

Maria Bechcyc-Rudnicka

**N**A eksperymentalnej scenie „Reduta 70” nowa premiera: „Pani Helena” — opowieść biograficzna o Helenie Modrzejewskiej, pióra, ścisłej mówiącej — piór Elżbiety Elbanowskiej i Henryka Drygalskiego.

Opowieść, a zatem rzecz ze swej natury niegotowa scenicznie, wymagająca aktywnej interwencji adaptacyjnej, sporego nakładu pomysłowości inscenizatorskiej — by nie pozostała w kręgu pasywnych relacji.

Zadanie to wzięli na swe barki utalentowani aktorzy Teatru im. J. Osterwy: Zofia Stefańska i Krystyna Wójcik. Są oni nie tylko wykonawcami, ale i autorami ostatecznego opracowania na użytek sceniczny zrealizowanego przez nich tekstu.

Wyda mi się, iż zgaduję, co kierowało wyborem Zofii Stefańskiej, gdy zdecydowała połączyć swoje osobiste święto aktorki, jubileusz 25-lecia pracy artystycznej — ze spektaklem będącym niejako holdem dla największej z aktorek polskich, bo opartym na fragmentach pamiętnika Heleny Modrzejewskiej. Czyż fakt, że taka właśnie premiera odbyła się w Międzynarodowym Dniu Teatru nie był wyrazem czci jubilatki dla wysokiego ideału sztuki teatralnej, którego Modrzejewska jest uosobieniem?

Szczytny ten pomysł był wart ryzyka. A ryzyko podjęto niemale, choćby przede wszystkim zdynamiczowanie narracji pamiętnikarskiej.

Tekst Elbanowskiej i Drygalskiego podaje tworzący zaczerpnięte z pamiętnika, rzecz by można — in crudo. Stąd różne niedogodności.

Pierwsza polega na tym, że Modrzejewska spisywała dzieje swego życia językiem prostym, rzeczowym. Wprowadzając ją jako postać sceniczną, autorzy skazali się

na stosowanie autentyzmu stylistycznego, który nie zawsze okazuje się atrakcyjny w dialogu.

Największą zaś wadą tekstu spółki autorskiej jest raczej niewymyślne uzależnienie jego struktury od chronologicznej kolejności faktów życiowych.

Nasi adaptatorzy dokonali igrzysk bohaterskich wysiłków przetwarzając szereg wydarzeń opowiedzianych — w wizualne dzieła sceniczne, stosując też odważnie cięcia. Jednak i po ich zabiegach pozostało jeszcze o wiele za dużo narracji (zwłaszcza w partii dotyczącej dzieciństwa Heleny Modrzejewskiej). Nie było na to rady — chyba że napisaloby się inną sztukę.

I oto znowu przykład czarodziejkiej mocy teatru: spektakl „Pani Helena” śledzi się mimo wszystko z niesłabnącym zainteresowaniem.

Ostatecznie życie wielkiej artystki jest tak bogate w treści, że nawet opowiadanie o nim nie nuży, kiedy podaje się je po aktorsku. Cóż dopiero, gdy w dodatku przepłata się scenami odegranymi.

Świetnie wypadły zwłaszcza sceny spotkań z dyrektorem warszawskiego teatru, Janem Jasińskim.

Choć trudno nie ponarżać trochę na niedobór w tym spektaklu elementów rdzennie scenicznych, to przede wszystkim słuszną trzeba uznać rezygnację z wizualnego odtwarzania fragmentów różnych ról (Modrzejewskiej). Doskonałym natomiast pomysłem było nagranie na taśmie dwóch monologów z „Adriana Lecouvreur”. Powiedzione w przyćmionym świetle, stanowią one piękny prolog i finał przedstawienia.

Skutecznie ożywiły „opowieść biograficzną” urywki współczesnych Modrzejewskiej recenzji, ale najszcześliwszą interpolacją stał się monolog ze słynnego studium Wyspiańskiego o „Hamlecie”.



Zofia Stefańska i Krystyna Wójcik w „Pani Helenie” E. Elbanowskiej i H. Drygalskiego.

Fot. W. Parys

Pamiętacie — tam rozważania o przemianie aktora przywodzą poecie na myśl „dziwne obłąkanie” Lady Makbet idącej zabić Duncana:

Widziałem ją, — za kulis stojący  
[ostoją,  
tuż, — jak ze stopni górnych szła,  
[— Makbeta żonką...

Wizja daje pełną miarę geniuszu Modrzejewskiej. Cóż, Wyspiański!

Czytelnik pewno zauważył, że o początku mówię tutaj o Zofii Stefańskiej i Krystynie Wójcik — łącznie. Dzieje się tak nie bez powodu. Rzecz w tym, że dobry wynik w trudnym przedsięwzięciu zawdzięczają ci nasi aktorzy zarówno wybitnie zgodnemu współdziałaniu „inwencyjnym”, jak i harmonijnemu „współgraniu” swoich talentów. Zresztą program przedstawienia nie definiuje „ról”, gdyż po prostu nie sposób ich zdefiniować. Oboje aktorzy przemieniają się podczas spektaklu bez ustanku w rozliczne postacie: ONA jest już to

narratorką relacjonującą fakty z dystansu czasu, już to aktualnie walczącą Modrzejewską, której powołanie wyznaczyło kolejne życie, wreszcie na moment — aktorką dzisiejszą, rozmyślającą o kształcie wielkości. ON — przed chwilą niemal obiektywny historyk, zamienia się w Jana Jasińskiego, przedzierzga się w hrabiego Chłapowskiego, w Stanisława Wyspiańskiego, a potem (i przedtem) jest nagle sprawozdawcą, ale już bardzo przyjaznym, współczesnym Modrzejewskiej, nieco ironicznym w stosunku do recenzentów, by naraz — proszę! — stać się samym krytykiem, przejętym własną oceną sztuki artystki. Albo też obrace się we „francuskiego pieszka”, dyrektora teatru hen w San Francisco...

Na tych przemianach, które para aktorów przechodziła z podziwu godną płynnością, odbiło się wyraźnie znamie nowoczesnej sztuki teatralnej.

Za jedno z największych osiągnięć Stefańskiej i Wójcik w „Pani Helenie” należy uznać pokonanie oporów konwencji czasowej. Tylko z gruntu nowoczesni aktorzy mogli tak zręcznie łączyć czas przeszły Modrzejewskiej z jej czasem teraźniejszym, a oba te czasy kojarzyć z teraźniejszością naszą do tego stopnia sugestywnie, by dało się brać nas, widzów, na żywych świadków tamtych dzieł.

Owego cudu przemienienia dokonali realizatorzy samymi środkami aktorскими, w ujęciu rapsodycznym, przy scenerii nobliwie prostej, ledwo zamarkowanej — ot, stare biurko, kandelabr na postumencie, parę krzesel „z epoki”, polozista szata Aktorki.

W końcowej części spektaklu przejmująco zabrzmiały słowa wielkiej Modrzejewskiej:

Nie przywiązywałam wagi do pieniędzy. Gdy byłam młoda, lekceważłam sławy, ale później wszelkie inne względy usuwały się w cień w porównaniu z entuzjazmem dla samej pracy. Zakochałam się w sztuce. Zapomniałam o sobie, wcielić się całą duszą w odtwarzaną postać, zidentyfikować swoją osobowość z duszą i ciałem innego człowieka — oto co stało się moim ideałem —

— ideałem, który w końcu okazał się wielką walką o rzeczy niemożliwe do osiągnięcia.

Jubileusz był „cichy”, nieoficjalny, z woli samej Zofii Stefańskiej. Myślę, iż z tego nakazu Artystki prześwieca odrobina kokieterii. No bo i racja: gdzie jeszcze nasze młodej, pięknej, uroczej Pani Zosi do postawy namaszczonej JUBILATKI! Niemniej dołączając w niniejszym druku do odśpiewanego gromko wśród kwiatów na widowni „sto lat” — swoje serdeczne życzenia dalszych sukcesów artystycznych, nie potrafię sobie odmówić przyjemności wyszczególnienia głównych postaci, w które zdążyła wcielić się przez owe lat XXV Zofia Stefańska. Oto one:

Alina w „Balladynie”, Marytka („Pieją koguty”), Marika („Niemcy”), Marcela („Pies ogrodnika”), Oliwia, potem Viola („Wieczór Trzech Króli”), Cherubin („Wesele Figara”), Marianna („Chory z urojenia”), Augustyna („Lato w Nohant”), Diana („Fantazy”), Elżbieta („Don Karlos”), Aniela („Śluby panienskie”), kolejno — Juliasiewiczowa, Mela, Lokatorka („Moralność pani Dulskiej”), Sofrona („Obrona Ksantypy”), Sex-Bomba („Wielki Bobby”), Amelia („Mazepa”), Infantka („Cyd”), Hanka („Głupi Jakub”), Sonia („Wujaszek Wania”), Emilia („Hiszpanie”), Marysia („Most”), Pani („Kowal, pieniądze i gwiazdy”), ostatnio — Doryna w „Świętoszku” i nowoczesnie interpretowana Pani Dobrońska w „Ślubach...”

Z całą pewnością nie wymieniam wszystkich.

Ogrom pracy, a ile jeszcze przybędzie do dnia JUBILEUSZU OFICJALNEGO!

# „Jazz nad Odrą” 1971

Stanisław Danielewicz

**S**TUDENCKIE festiwale „Jazz nad Odrą” co roku przyniosły sporo propozycji w dziedzinie sposobu rozumienia muzyki jazzowej; co roku dzięki wrocławskiemu konkursowi mamy okazję zapoznać się z „nowymi twarzami w polskim jazzie”. Dawną już jednak „Jazz nad Odrą” nie przyniósł tej ilości znakomych produkcji i mniej lub bardziej kontrowersyjnych wykonawców co w tym roku.

VIII Festiwal, zakończony w ub. m. koncertem laureatów, pozwała stwierdzić, że poziom nie tylko uznanej ekipy wykonawców, ale nawet mniej znanych muzyków czy wręcz debiutantów znacznie się podniósł, w porównaniu choćby z rokiem ubiegłym. Jakże są tego przyczyny? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć, ale nie bez znaczenia jest fakt coraz szerszego zainteresowania „jazmem” wśród młodzieży, która „przyswaja” się do trudniejszej niż taneczny beat muzyki, słuchając coraz liczniejszych grup. Integrujących w swoich produkcjach elementy jazzu i beatu. Faktycznie zainteresowanie czy nawet zdrowy snobizm (bo dotyczy ambitnej i wartościowej muzyki) jest silną napędową coraz popularniejszych ostatnio koncertów jazzowych i jam-sessions. W tym wypadku popyt rodzi podaż: pojawia się nowa generacja muzyków jazzowych, którzy przy zdrowym pojęciu do spraw zarobkowo-warsztatowych, jak i odpowiedniej „sprzedaży” swoich pomysłów, nie powinni narzekać na brak publiczności. Nawet tak elitarna muzyka jak free jazz, o ile reprezentuje odpowiednio wysoki poziom, może liczyć na weale niemałe zainteresowanie (vide: popularność grupy „Freedom” we Wrocławiu).

Jedno jest pewne: wysoki, nie notowany od lat poziom „Jazzu nad Odrą” sprawił, że jury nie miało łatwego zadania przy klasyfikacji zespołów i solistów. Przy takim układzie werdykt jest wypadkową zainteresowań i sympatii członków jury, w niektórych przypadkach świadectwem kompromisów, a w całości — kontrowersyjnym, choć z pewnością ogólnie prawidłowym systemem wartościującym. Kontrowersje są zresztą dwójakiej natury:

w niektórych przypadkach dotyczą one dla mnie bezspornie najlepszych (np. „Freedom”), a dla wielu spośród publiczności i muzyków bezwartościowych produkcji, natomiast z drugiej strony sama kolejność czy brak pewnych nazwisk w ocenie jury rodzi moje osobiste sprzeciw.

I miejsce w kategorii zespołów nowoczesnych zajął Teatr Awangardy Instrumentalnej „Freedom” z Wrocławia. Rozumiem, że to, co grupa zaprezentowała (kompozycja kierownika zespołu R. G. Miśka „Amfreegonia”), mogło być kontrowersyjne lub wręcz bezwartościowe dla wielu osób. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że było to największe artystyczne wydarzenie festiwalu.

O ile w roku ubiegłym całość występu „Freedom” była na granicy skrajnego indywidualizmu i szarlatanerii, to w roku bieżącym nie mogło być wątpliwości, że „Freedom” jest czymś autentycznym w swoim wyrazie. Rok temu można było grupę podziwiać lub też śmiać się z dziwactw. Obecnie istnieje inna alternatywa: podziw lub całkowite niezrozumienie — ale nie drwin i śmiech. Z pozorowanego chaosu „Amfreegonia” wyłania się logiczna, przejrzysta struktura kompozycji, w której najważniejszą jest nie błękość techniczna instrumentalisty (choć nie bez znaczenia w wypadku lidera grupy i sekcji rytmicznej), lecz wysoki stopień umiejętności organizacji dźwięku w zależności od klimatu muzycznego. „Freedom” nie na darmo określa się mianem „Teatru Instrumentalnego”. Najdziwniejsze na pozor poży muzyków, gwałtowne ruchy, deklamacja — wszystkie te pierwiastki uczestniczą w tworzeniu muzyki. „Freedom” opiera się na paradoksie: „grasie skrajnie „wyzwolony jazz”, jednocześnie małyka swój utwór w konstrukcji przemysłowej i dopracowanej, jaka tylko można sobie wyobrazić. Z pewnością, najpierw był intelekt (aranżacja), a potem przypadek (elementy wykonania), ale w czasie występu „Freedom” oba te czynniki stapiają się w jednorodną całość.

Drugie miejsce w kategorii zespołów nowoczesnych otrzymał Duet Gitar Klasycznych (H. Alber — J. Strobel). Duet reprezentuje zachowawczą tendencję jazzu nowoczesnego (to weale nie szarżę), uprawiając ze szczególnym upodobaniem bossa-nove, Ba, ale co za wykonawcą Technika i pomysłowość Janusza Strobla (rodem z Wybrzeża,

choć Duet reprezentował stolicę) stawia go na pierwszym miejscu wśród polskich gitarzystów jazzowych (których zresztą na palcach jednej ręki można policzyć), a delikatność brzmienia i znakomite stosowanie dynamiki (szczególnie w bluesie W. Montgomery'ego) wskazują na dużą muzykalność.

Z przyjemnością piszę o zdobywcy III miejsca — gdyńskiej grupie „Rama III”. Kilka elementów prezentacji tego zespołu zasługuje na szczególną uwagę. Po pierwsze — opracowania „Bogurodzicy” (tak, starodawne) pieśni rydzkiej przez Jana Rejnowicza. Utwór zbudowany na zasadzie suit, w wersji, która zaprezentowała pięć osobowy skład (z Piotrem Nadolskim na trąbce), mógłby być śmiało częścią płyty np. grupy „Blood, Sweat and Tears”. Druga sprawa to rewelacyjnie, jednocześnie nowoczesnie i maksymalnie komunikatywnie solo Piotra Nadolskiego. I trzecia sprawa to zbudowana z elementów chorałów, nowoczesnych i śmiałych rozwiązań ekspresyjnych wariancja organowa Jana Rejnowicza (choć, jak stwierdzają niektórzy nie bez słuszności, za bardzo przypomina fragment „Bluea Part II” zespołu „Blood, Sweat and Tears”). Gdyby jeszcze w czasie telewizyjnej transmisji koncertu laureatów muzyki czystszej śpiewał tekst „Bogurodzicy”, wszystko byłoby idealnie.

Krakowski pianista Henryk Słaboszowski otrzymał nagrodę jako kompozytor, ale należała się ona także jego zespołowi. Konsekwencja, logika i oryginalność brzmieniowa — tak w skrócie można by określić prezentację Trójki Słaboszowskiego.

Jeżeli idzie o zespoły tradycyjne, to absolutnym zwycięzcą w tej konkurencji powinna być wrocławska grupa „Sami Swoi” — znakomicie i oryginalnie brzmieją (dzięki niebanalnemu składowi instrumentalnemu), precyzyjna w najbardziej skomplikowanych podziałach rytmicznych i prezentująca pomysły, drobniagowe aranżacje, którym nie ustępowały partie solowe (np. trąbacz J. Kurzawy, kierownika zespołu). Piszę: powinna być, gdyż „Sami Swoi” zajęli II miejsce. Powtórzono po prostu jeszcze raz pomysły z konkursu o „Złota Tarke” dla najlepszego polskiego zespołu tradycyjnego; i miejsce przyznano swingowemu bigbandowi „Stodoła”, który zresztą zasługiwał na nagrodę, ale przecież nie w tej kategorii.



„Rama III” — trzecie miejsce w kategorii jazzu nowoczesnego.

Fot. J. Hajduł

O ile w roku ubiegłym jury bardzo łagodnie oceniło zgłoszonych do konkursu wokalistów, to obecnie kryteria uległy znacznemu zaostrzeniu. Do tego stopnia, że nie uhonorowano nagrodą czy wyróżnieniem Jolanty Borusiewicz oraz J. Wawrzyniaka z grupy „Generacja”. I miejsce, jako jedyną nagrodę w kategorii wokalne, otrzymała grupa „Bombek” — za pulsujące rytmem, swingujące i dynamiczne wykonanie takich pozycji jak „Come on baby light my fire” czy „Eja nalej” Z. Namysłowski.

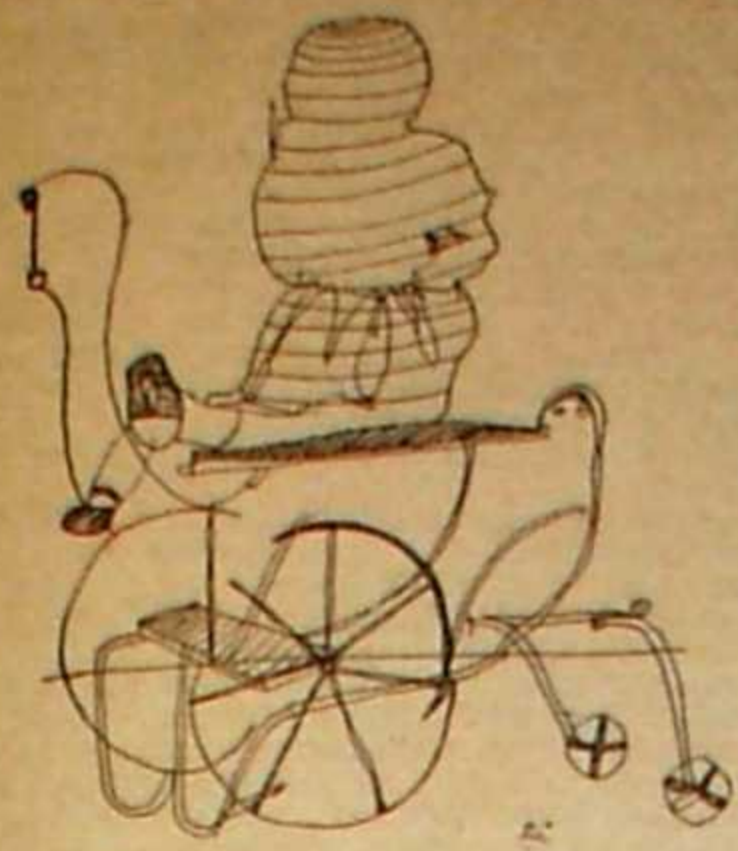
Nagrody w kategorii solistów instrumentalistów otrzymali: — Tomasz Szu-

kałski (ta), II — Jerzy Horwath (trąbka), III — M. Biliński (git.).

Nagrody za kompozycje: I — R. Miśka za utwór „Amfreegonia”, II — H. Słaboszowski za „Balladę”.

Aby zakończyć sprawozdanie ze znakomitej imprezy, jaką był w tym roku „Jazz nad Odrą” wesolym akcentem, wspomnę, że nagrodę specjalną dla Największego Szalwusa Festiwalu otrzymał Henryk Słaboszowski (za całokształt swej upiornej postaci, a nagrodę Miura Prasy za najlepszy artykuł (9. i 11) tzw. Golden Topcor (po czeaku: Zachłasta-na Sükiera) zdobyło. Jury.





tutaj, mam — odpowiadał, choć wiedział że wstydił się swego kalectwa i nie chce nikomu pokazywać sstrywnych skórzanych butów, opasanych grubymi rzemieniami i tych niezgrabnych kroków, które musiałby stawiać.

— Oto on! Patrzcie! To ten — szeptałby ludzie — któremu odcięto stopy. Potem popyłyby się inne uwagi, jakieś wyrazy nadziei i współczucia. Poznał już dobrze ich znaczenie, rozumiał całą okrutność bezsilnej litości. Wynajdywał więc różne przyczyny, aby swoją odmowę uzasadnić matce. Raz mówił, że źle się czuje, innym razem, że chce spać i wówczas kiadał się do łóżka, zamykał oczy, choć nawet nocą męczyła go bezsenność. Pewnego dnia leżąc tak stwierdził niepodświadomie, że zacierają się przed nim kontury miasta. Przeląkł się trochę tego odkrycia. Usiadł na łóżku i zaczął usilnie przypominać. Orientował się jeszcze gdzie ratusz, poszczególne większe ulice, ale nie wiedział już, jak wyglądają domy, gdzie są ich drzwi, gdzie okna. Jedyne ulica Wester-

zamknięte w czterech ścianach należało do innej kategorii.

Za oknami jego pokoju od południa i zachodu rozciągało się miasto. Jednym rzutem oka można było uchwycić kształt, położenie i wielkość. W każdej porze doby przynosiło ono coraz inne, różnorodne obrazy: dniem rozlewało się w barwach słońca, buchało pe-dem motorów, stukotało pracą wyciągów. Wiedzącym setki neonów zakreślały jego brzozy, wyznaczając miejsce ulic i domów. Później nocą zlewało się wszystko powoli, by wejść w czarny pas horyzontu. Nieraz ciężkie zachodnie chmury spadały na miasto. Było wówczas ponure i groźne, innym razem jakieś majestatyczne, ciche i odświętne. Ale Paweł nie dostrzegał jeszcze tych zjawisk. Początkowo nawet nie zbliżał się zbyt do okna, bo przepaść za murem wprawiała go w lęk. Potem podchodził do niego tylko po to, aby oczy oderwać od ścian. W końcu jednak ta różnorodna panorama zaczęła go interesować. Spoglądał więc coraz dłużej i mimo woli rejestrował w pamięci oglądane

i ginie gdzieś za zakrętem. Czuje w sobie rytm miasta, pulsujący potokiem maszyn i przechodniów, ogląda przypominane gmachy, odwiedza sklepy. Później wraca zmęczony jakby z dalekiej podróży, zatrzymuje wóz przed domem, jedzie winda i znów staje przed oknem. Tak mijał dzień po dniu — a Paweł wciąż dalej i dalej krajał po ulicach. W końcu obserwacje swoje przerzucił na plac, gdzie wznosiły się dźwigi i rusztowania. Od strony północnej rozciągał się teren zwałony gruzem i ceglami. Kłęby białego dymu buchały stamtąd i dolatywał gwizd parowozu. Chłopiec przyłożył lornetkę do oczu i miał obiekty jak na dłoni. Był to plac budowy przyszłego dworca.

— Czemu oni budują tak blisko wylotu ulicy — myślał. Przecież na lewo jest obszerny plac. Odkrzył lornetkę, usiadł przy stole i naszkicował plan: gmach wzdłuż torów, sklepienie lekkie, szerokie, wystające od północy i południa, okna na wysokości pierwszego piętra, pełne słońca i przestrzeni. Tuż za dworcem, od strony miasta, czarna płyta asfaltu, przystanek dla samochodów, przejście dla pieszych. — Ja bym rozwałł jeszcze ten czerwony dom i parę drzew na brzegu skweru. Cóż by to była za perspektywa — myślał. Zachwycony projektem narysował obok dworca potężny wiadukt, a za nim, wzdłuż lewej strony szosy, domki: większe i mniejsze, różnorodnego kształtu i koloru, całą dzielnicę willową. Poprzecinał ją potem alejami i ścieżkami, zaciągnął parkany, zasadził drzewa i porobił skwery. Ucieszył się ogromnie, bo mu się nagle miasto rozrosło. Zaczął teraz szukać dalszych wolnych terenów i rzucać na papier plany nowych gmachów i osiedli. Zburzył stare rudery przy ulicy Widok, wznosił wieżowce na Wiśniowej, budował arterie i uruchamiał linie trolejbusów. Każdego dnia na jego stole piętrzyły się coraz wyższe stosy szkiców i projektów. Nie było to już miasto, które rozpościerało się przed nim, ale jakaś ogromna wizja zarysowana po brzegi horyzontu. Wizja ta powoli zaczęła go pochłaniać i kazała zapomnieć o ludziach i kalectwie. Czuł że jest coraz bardziej potrzebny, że różne pilne sprawy cisną się do jego głowy i wymagają szybkiego załatwienia. Przesiadujący teraz coraz częściej i dłużej pochylony nad stołem. Nawet nocą pracował uparcie, bo wydawało mu się, że nie zdąży na czas wykonać jakiegoś projektu. Poznał już dobrze swoje nowe gmachy i dzielnice, pamiętał nazwy ulic, po których chodziło już tysiące ludzi.

## Henryk Szyłkin

platte pozostawała w jego pamięci jakby widzialna wczoraj. Znal miejsce jej skrzyżowań, wiedział, że asfalt zaczyna się od Swierczewskiego i ciągnie do dworca. Tańczył na nim w czasie Winobrania. Był to jego pierwszy występ publiczny. — Trzymaj się mocno — szeptał wówczas do Jadzi. Dziewczyna uściśnęła dłoń, a potem był oberek od krawężnika do krawężnika. Bito brawa. Paweł spojrział na czarne protezy ustawione przy łóżku, a potem objął nogi podobne do palików. Zza okna dolatywał daleki blask miasta, dudniły gdzieś samochody, a on zastanawiał się długo, czy to prawda, że jego nogi kiedyś mogły tak tańczyć. Nazajutrz oznajmił: — Mam, powiedz, gdy przyjdzie Jadzia, że jestem chory. — Dlaczego? — zapytała zdziwiona. Chłopiec milczał. Spoglądał tylko na zniszczoną twarz matki, na siatkę zmarszczek pod oczyma, na siwiejące włosy i wydawało mu się, że go już nie rozumie i zrozumieć nie potrafi.

— Powiedz, mam — powtórzył. Zal mu trochę jej było, ale musiał odpychać ten obcy świat, który chciała przybliżyć. — Ona taka miła. Pamięta o tobie — odparła nieśmiało. — Ale to mnie już nie interesuje. Czy mama tego nie rozumie? Matka opuściła pokój. Od tej chwili był niemal całkowicie samotny. Kobieta przynosiła poranny posiłek, rozmawiała krótko, potem szła do pracy. Zostawał sam. Był nawet zadowolony z takiego trybu życia. Nauczył się cenić ciszę i taki rodzaj samotności, który pozwala zapomnieć o wszystkim. Nieraz jednak odzywał się w nim jeszcze ten ludzki, naturalny instykt do refleksji i wniosków.

— Co będzie, gdy matka umrze? — myślał. — Przecież sam życie potrafię. Jakis ukryty lęk wybuchł wówczas nagle, lecz gasł równie szybko, bo Paweł nabierał przekonania, że on pierwszy musi umrzeć. Takie życie przecież nie ma sensu — myślał. A to co bez sensu — musi zginąć. Szukał teraz przykładu na potwierdzenie tej tezy. Całymi godzinami spoglądał na swoje ręce i powoli nabierał przekonania, że one usychają i tracą siłę. Raz widział na nich niebieskie żyły, które jakby wystawały z mięśni, innym razem zdawało mu się, że skórę ma pomarszczoną i martwą.

Któregoś dnia matka nie poszła do pracy. — Chcę zmienić mieszkanie — powiedziała. Co ty, Pawełku, myślisz o tym? — Niech mama robi jak chce — odparł. — Słońce mamy o zachodzie, a wilgoć w każdym kącie — mówiła. Chłopiec milczał nie dając odpowiedzi na ten argument, a matka patrząc na zrezygnowaną twarz syna myślała, że on już jest dla niej stracony, że będzie zawsze taki jak dziś: zamknięty, ponury i milczący. Miała nadzieję, że przynajmniej w tej sprawie będzie inny, uważała, że z uciechą przyjmie nowe słończne mieszkanie, chociaż było wysoko położone.

Milczenie Pawła wprawilo ją w zakłopotanie i smutek. — Na nie mi nigdy nie chcesz odpowiedzieć — powiedziała. Chłopiec milczał. Umilkła więc i ona tuliąc w sobie lzy, które cisnęły się do oczu. Po tygodniu podjęła decyzję. Znaleźli się więc na dzielnym piętrze przy ulicy Dzierżyńskiego. Był tam obszerny pokój z oknami na południe. — Popatrz, ile tu słońca — powiedziała, lecz tylko jakby do siebie, bo Paweł i tutaj jak dawniej na wszystko był obojętny. Gdy wychodziła do pracy siadał na tapczanie i przeczyszczał oczy ze ścian na ścianę, trwał godzinami. Nieraz matka kładła mu książkę na stole. Brał ją, ale po kilku przeczytanych kartkach zamykał i odkładał na bok. Nawet Kraszewski, którym się niegdyś zachwycał, przestał go interesować. Fikcja — myślał, każde zdanie jest fikcją, jakimś fałszem obliczonym na stworzenie przekonania, że świat jest piękny i szczęśliwy. Pojęcia te były teraz dla niego jakies obce i nieuchwytnie. Zresztą, nie zastanawiał się długo nad nimi. Życie

obrazy. Była to jednak obserwacja powierzchowna, jakiś rzut oka bez wnikania w szczegóły. Później zaczął śledzić dokładnie położenie parków i kierunki ulic. Obserwował różnorodną mozaikę dachów błyszczących w słońcu jak lusterka, liczył i lokalizował fabryczne kominy. Szczególnie wieczorem lubił spoglądać na miasto, gdy neony wybiegaly ulicami na szosy tworzące kolorowe linie.

Mijały dni, a on pewnego wieczoru, siedząc już godzinami przy oknie, zauważył, że na przeciwnym brzegu miasta ludzie najwcześniej zapalają światła. Zaintrygowany wpatrywał się intensywnie w ten tajemniczy obiekt. Wynik dalszych obserwacji zawsze był taki sam. Postanowił więc za wszelką cenę rozwiązać zagadkę. Budził się teraz nocą, podchodził do okna i wymyślał różne tezy. Ale ciemne plamy uspiionych domów, poprzecinane neonami ulic, nie dawały żadnej odpowiedzi. Postanowił więc czekać na lepszą widoczność. Któregoś ranka w blasku słońca ujrzał nowe zjawisko. Wokół domów rosły drzewa. Widział dokładnie, jak ich konary pną się, rozgałęziają, sięgając do okien ostatnich pięter. To klony — wykrzyknął i usiadł zadowolony przy stole. Oto nagle wydało mu się, że dokonał wielkiej pracy, pierwej od wielu miesięcy. Przejęty tym sukcesem, obserwacje swoje przerzucił na inne obiekty. Przypominał teraz i identyfikował zapomniane gmachy i ulice. Starł się ustalić raz jeszcze dokładnie położenie kominów i wszystkich wysokich budowli miasta. Gdy matka wracała z pracy jadał szybko obiad i powracał do okna.

Cieszył się bardzo, jeżeli dzień był pogodny. Różnorodne dachy, place i skwery, odcinały się wówczas ostro różnymi barwami, tworząc pociętą mozaikę. Na ulicach panował zwiększony ruch: ciągnęły szeregi przechodniów, migaly samochody, aby wkrótce zginąć wśród zakrętów i domów, które tracąc stopniowo geometryczne kształty — wchodziły z wolna w szeroki pierścień lasów. Rozciągał się on od wschodu na zachód i dalej na północ. Tuż za nim aż po brzegi horyzontu widniała różnorodna szachownica pól, a dalej jeszcze niebieskie pasmo Odry. Jeżeli jednak dzień był pochmurny, cała ta rozległa przestrzeń, poprzerywana tu i ówdzie ciemnymi wstęgami asfaltowych dróg, zlewała się w jeden ciemny krąg utrudniając obserwację. Wówczas nawet bliższe otoczenie zatracalo swój różnobarwny kontrast, wyglądając jak szary kamień pocięty szczelinami. Musiał wtedy usilnie wyteńczyć wzrok, aby wylowić z niego ulice i domy. Pewnego dnia poczuł nagle, że mu oczy łzami zachodzą. Oderwał się od okna i stanął przed lustrem. Spojówki miał białe i czerwone. Zaczął je szybko przemywać wodą. Zabieg nie przynosił skutku. Usiadł więc na tapczanie i przytknął powieki. Ból ostry, głęboki świrował oczy, a jemu wydawało się, że przez to okno, które wypuściło go trochę na świat, będzie musiał powrócić do pokoju i pozostać na zawsze w kącie. Przywykł już do nowego otoczenia, bo ono całkowicie zastąpiło mu książki, kolegów i szkołę. Nagle zapragnął szukać ratunku. Poderwał się z tapczanu i chodził po pokoju.

— Mam, kup mi lornetkę — powiedział, gdy powróciła do domu. Była to pierwsza jego prośba od wielu miesięcy. — Oczy masz jakby ci je ktoś krwią zalał — odparła matka, spoglądając na czerwone spojówki syna. Następnego dnia miał lornetkę. Mógł teraz z łatwością przybliżyć i oddalać poszczególne obiekty. Najpierw obmyślił coś w rodzaju planu obserwacji. Śledził ruch kołowy na skrzyżowaniach pobliskich ulic. Notował typy wozów, badał ich szybkość i kierunek jazdy. Raz wydawało mu się, że jest jakimś kierownikiem ruchu, innym razem — kierowcą. Oto pedał ulicy, zmienia biegi, przystaje na skrzyżowaniach, potem oddala się

Pewnego dnia, gdy projektował jakiś nowy obiekt, ujrzał nagle przed sobą smukłą dziewczynę w niebieskim płaszczu. — Jadzia — wykrzyknął i gorączkowym ruchem zaczął obracać kołko lornetki. Widział teraz dokładnie jej pociągłą twarz i czarne długie włosy. — Halo! Jadzia! Jadzia!... wołał z góry. Ale dziewczyna nie słyszała jego głosu. Szła szybko i wkrótce znikła za rogami pobliskiego domu. Paweł wychylił się z okna, ale dziewczyny nie było. — Jadzia! Jadzia! — powtarzał coraz głośniej. Nagle przypomniał sobie wszystko: szkołę, kolegów, Jadzię. Zapragnął teraz spojrzeć jej w oczy, których się przedtem tak lękał, chciał odpowiedzieć na wszystkie stawiane pytania, wytłumaczyć swoje milczenie, które rosło przez długie miesiące. Szukał dziewczyny ciągle jeszcze na dalszych wycinkach ulicy, ale gdy i tam Jadzi nie było, odkrzył lornetkę i zaczął chodzić po pokoju. Kroki jego, przedtem ostrożne i powolne, stały się nagle energiczne i szybkie. Uderzał głośno sztucznymi stopami, jakby chciał sprawdzić ich siłę i przydatność. Nie spoglądał już teraz, jak kiedyś, na ściany, lecz chwieiwe przez okno, jakby chciał w jednej chwili ujrzeć wszystko. Czuł, że odzyskuje siłę, że chce wyrwać się z tego pokoju, chce iść po ziemi odważnie, coraz prędzej i dalej, chce żyć. Jakies minione zdarzenia, jacyś ludzie i obrazy przewalały mu się teraz gwałtownie po głowie. Nagle stanął. Otworzył szafę i wyjął z niej odświętne ubranie. Mył się szybko i ubierał jakby wkrótce odjeżdżał jego pociąg. — Mam — zawołał — gdy otworzyła drzwi mieszkania. — Chcę dziś odwiedzić Jadzię. Ale matka widząc chłopca w odświętnym ubraniu poczuła, że ją ktoś jakby przykuł do podłogi. Chciała podejść do syna, chciała odpowiedzieć, lecz oparła się tylko o ścianę i chwylała gorączkowo powietrze. — Mam! Mogę? Mam! — pytał syn. — Możesz — wykrztusiła z jakimś trudem, bo ją coś nagle ścisnęło za gardło i lzy zalały oczy.

— Nie zapomnij tylko zabrać klucza od windy!



Rys. E. Inglist

**P** OŁOŻONO go na stole operacyjnym i amputowano obie stopy. Potem leżał kilka miesięcy w szpitalu, a gdy zabliźniły się rany, nałożono mu protezy i jako tako nauczono chodzić. W końcu odesłano do domu. Znalazł się więc ponownie przy ulicy Sowińskiego, by zamknąć się w czterech ścianach pokoju. Od tego dnia świat stracił barwy i był podobny do odebranej wskazówki zegara. Obojętne i dalekie stało się jego rodzinne miasto, uwielbiane niegdyś, w którym rósł i zdobywał pierwsze chłopięce wrażenia.

Był młody, ale życie miał już poza sobą. Bo oto pewnego letniego ranka ciężarowy wóz zmiażdżył nie tylko jego stopy, ale przeciął młodzieńcze ideały. Niedawno jeszcze uczył się w szkole, miał przyjaciół, przygotowywał się gorączkowo do końcowych egzaminów. Wydawało mu się wówczas, że kończy studia i znów powróci do swego miasta by tutaj żyć i pracować. Teraz wszystko to było martwe i niepotrzebne; rozwalone sterty książek leżały na szafie, nie czytał gazet, a nawet z matką rozmawiał niechętnie. Jedyne Jadzia od czasu do czasu próbowała nawiązać mu kontakt ze światem. Przychodziła zwykle po zakończonych lekcjach, aby dodać mu trochę otuchy. Ale on, zawsze poważny i spokojny, spoglądał w milczeniu na jej czarne, zwisające włosy, jakby dziewczyna winna była jego kalectwa.

— Czemu tyś taki smutny? — pytała nieraz. Było to najczęściej pytanie retoryczne. Nieraz dziewczyna chciała wydobyć z niego jakieś słowo, spojrzeć mu prosto w oczy, przywrócić odrobinę uśmiechu. Unikał wtedy jej spojrzenia, bo widział w nim litosć. Czuł to zresztą wszędzie: w uścisku dłoni, w upominkach jakie mu przynosiła, znajdował w każdym słowie, i to go męczyło najwięcej.



— Ona nie będzie już inna — myślał. Tak być musi. Wówczas przelatywały w jego mózgu jakieś obrazy zaczątków ich przyjaźni, z którą wiązał niegdyś tyle nadziei, i czuł wtedy niemal fizyczny ból. Odwracał więc głowę i lekając się tej okrutnej prawdy, która dobiła go co dzień, dawał zawsze wymijające odpowiedzi. Ale Jadzia nie rozumiejąc tego śladła na krzesło. Słuchał jej relacji obojętnie, a gdy opuszczała mieszkanie, żegnał oziębło i krótko. Przywykł już do samotności, czarnej, milczącej, podobnej do kopalni, z której już dawno wydobyto ostatnią bryłę węgla. Cisza wydawała mu się teraz konieczna jak sen. Nowy tryb życia oderwał go od problemów, które przebiegały gdzieś za jego plecami. Wiedział, że te ściany: gluche i szare, które go otaczają 24 godziny na dobę, muszą mu zastąpić szkołę, miasto i przyjaciół. Nieraz znużony długim leżeniem w łóżku siadał przy oknie i spoglądał bezmyślnie wzrokiem na nagi, okopcony mur sąsiedniego domu, z którego tylko od czasu do czasu opadał kawał starego tynku. Ten punkt widzenia, jedyne okno na świat, skupiał całą jego uwagę.

— Wyjdź na podwórko, dziś tak ciepło, słońce — mówiła matka. — Mógłbyś usiąść na ławce i opalić się trochę. — Dobrze mi

# O polsko-rosyjskich powiązaniach literackich

Jan Orłowski

**P**OWIĄZANIA literackie sąsiadujących ze sobą narodów znajdują praktyczną realizację we wzajemnych tłumaczeniach, zapożyczeniach, maśladowictwach, korespondencjach, kontaktach i współpracy pisarzy; w sięganiu do tematyki z życia sąsiadnego narodu. Polsko-rosyjskie związki literackie mają wielowiekową tradycję. Są one przedmiotem badań literaturoznawców polskich i radzieckich. Każdy rok przynosi w tej dziedzinie coraz to nowe odkrycia i odsłania nieznane dawniejszym historykom literatury fakty i powiązania literackie.

Rusycyści polscy mają duże i znane osiągnięcia w badaniu polsko-rosyjskich tradycji literackich. W badaniach tych biorą również czynny udział pracownicy lubelskiej rusycystyki, która od kilku lat rozwija się na UMCS i notuje już pierwsze osiągnięcia w specjalistycznych publikacjach krajowych i zagranicznych.

Polsko-rosyjskie związki literackie, które rozwijały się w przeszłości niezależnie od przeszkód i trudności natury politycznej, są też przedmiotem ciekawych studiów, prowadzonych przez badaczy radzieckich. Ich owocem jest obszerny, liczący prawie 500 stron tom rozpraw naukowych, który ostatnio ukazał się w Moskwie pod ogólnym tytułem „Polsko-rosyjskie związki literackie”. Praca zawiera 23 rozprawy różnych autorów, które ujawniają powiązania literackie obydwu literatur od wieku XVII aż do czasów najnowszych. Przynosi ona omówienie wielu mało lub wcale dotąd nie znanych faktów literackich, które mogą zainteresować nie tylko zawodowych historyków i badaczy literatury.

Wzajemne przenikanie się tych literatur, a ściślej mówiąc ekspansję literatury polskiej na tereny rosyjskie w XVII wieku, omawiają w swoich rozprawach O. A. Dzierżawina, W. D. Kuźmina i A. W. Podniejew. Pierwsza autorka poświęca swoją pracę siedemnastowiecznym rosyjskim przekładom noweli i przypowieści dokonanych z polskiego zbioru „Wielkie zwierciadło przykładów”, natomiast W. D. Kuźmina — wpływ staropolskich intermedii szkolnych i plebejskich na rozwój teatru rosyjskiego w XVII i XVIII wieku. Tematem rozprawy A. Podniejewa jest popularność polskich pieśni świeckich w siedemnastowiecznych śpiewnikach rosyjskich.

Z kilku rozpraw dotyczących literatury XVIII wieku szczególne zainteresowanie polskiego czytelnika budzi praca L. Kriestowej na temat pisanej około 1780 roku a niedokończonych tragedii M. Murawjewa pt. „Bolesław, król polski” oraz ballady o tym samym tytule. Te utwory o tematyce polskiej były do tej pory nieznane polskim rusycystom, podobnie jak i sam autor, który jest postacią marginalną w osiemnastowiecznej poezji rosyjskiej. Bardzo ciekawie przedstawia się również praca J. Dwojczenko-Markowej „Krasicki we wczesnych rosyjskich tłumaczeniach i naśladowaniach”. Jak podaje autorka, utwory „księcia poetów” polskiego Oświeceniści zaczęli tłumaczyć w Rosji nauczyciel gimnazjalny z Kaugi G. Zielnicki w roku 1794.

Największą ilość prac dotyczy polsko-rosyjskich stosunków literackich w XIX wieku. Problematyka jest szczególnie ciekawa, gdyż stosunki te kształtowały się, jak wiadomo, w atmosferze politycznej wrogości, która utrudniała współpracę literacką, a z drugiej strony — literatura rosyjska osiągnęła w tym stuleciu rozgłos i przyciągała silnie uwagę polskich środowisk literackich swoimi wartościami poznawczymi, ideowymi i etycznymi.

Wielokrotnie podnoszony w polskim piśmiennictwie temat zależności „Dum” Rylejewa od „Śpiewów historycznych” Niemcewicza został na nowo podjęty i obszernie omówiony w rozprawie Dwojczenko-Markowej pt. „Niemcewicz i Rylejew”. Wciąż przykuwają uwagę badaczy stosunki Puszkina i Mickiewicza zostały pokazane na szerszym tle zainteresowań rosyjskiego poety kulturą polską. Igor Belza w artykule „Puszkina i kultura polska” omawia nie tylko kontakty Puszkina z polskimi poetami (Mickiewicz, Chodźko); autor podkreśla, że był on w salonie Marii Szymanowskiej, gdzie słuchał utworów kompozytorów polskich — Ogiń-

skiego, Kurpińskiego, Lipińskiego, spotykał się również z tak znanymi malarzami polskimi jak Orłowski, Oleszkiewicz, Wańkiewicz, Kanlewski, którzy byli wybitnymi przedstawicielami „kolonii polskiej” w Petersburgu. O jednym z pierwszych polskich tłumaczy Puszkina, — Ignacym Zenowiczu, pisze W. N. Stefanowicz w rozprawie „Polski tłumacz A. S. Puszkina”. W zestawieniu z bogatą polską puszczyznistyką praca ta nie wnosi jednak nowych elementów do dzieł w literaturze tego poety w Polsce. Szczególnie interesujące są rozprawy o rosyjskich tłumaczeniach polskich poetów. G. Rabinowicz pisze o pierwszych rosyjskich przekładach poematów Słowackiego, którego w Rosji zaczęto tłumaczyć dość późno. Popularność jego wśród czytelników rosyjskich rozpoczęła się dopiero w roku 1871 od przekładów P. Kozłowa i N. Puszkariewa. W tym czasie byli szeroko znani w Rosji dwaj inni polscy poeci, Mickiewicz i Syrokomla. Bardzo liczne rosyjskie przekłady utworów Syrokomli w drugiej połowie XIX wieku (po Mickiewiczu był on najbardziej znanym polskim poetą w Rosji) omawia D. S. Prokofiewa w pracy „Władysław Syrokomla w Rosji”. Przekładom z Mickiewicza poświęcona jest rozprawa A. Illuszyna pt. „Benediktów — tłumacz Mickiewicza”. Autor obszernie omawia zainteresowanie rosyjskiego poety twórczością Mickiewicza i dokonane przez Benediktowa (1807—1873) przekłady ballad „Grażyna” i „Konrada Wallenroda”.

Zasługę zesłanego na Syberię Wacława Sieroszewskiego w badaniach etnograficznych w Jakutii są tematem artykułu L. Rowiakowej pt. „Wacław Sieroszewski — badacz Jakutii”. Z dziewiętnastowiecznych związków literackich na uwagę zasługuje popularność w Polsce twórczości Gogola i Turgeniewa w latach 1840—1880. Zagadnienie to omawia w obszerny i doskonale udokumentowanej rozprawie J. Z. Cybliko, autor szeregu innych prac o polsko-rosyjskich związkach literackich.

Odrębny charakter ma artykuł A. Piotrowskiej pt. „Niekrasow i Koponnicka”. Autorka nie znajduje jednak bezpośrednich związków w twórczości tych poetów, zwraca jedynie uwagę na liczne podobieństwa typologiczne i tematyczne w ich poezji. Na te podobieństwa krytyka rosyjska już wielokrotnie zwracała uwagę za życia polskiej poetki, którą na początku naszego stulecia bardzo często tłumaczono w Rosji.

Z zakresu powiązań literackich, w obecnym stuleciu zwraca uwagę praca S. Belzy pt. „Kwestia polska i tłumaczenia z polskiego w rosyjskiej poezji końca XIX — początku XX wieku”. Autor podkreśla tu wzrost zainteresowania w tym okresie kulturą polską w Rosji i pisze o często manifestowanych w ówczesnej poezji rosyjskiej objawach sympatii do narodu polskiego. Dało się to zauważyć szczególnie w latach pierwszej wojny światowej w twórczości Brusowa, Pasternaka, Mandelsztama, Balmonta, Sirotinina, co dla opinii polskiej miało w pełni zrozumiałe uwarunkowanie polityczne.

Nie została też pominięta literatura współczesna. Kontakty i współpracę przebywających we Lwowie, Moskwie i innych miastach pisarzy polskich, rosyjskich i ukraińskich w czasie ostatniej wojny przypomina T. P. Agapkina. Polski czytelnik znajdzie tu sporo interesujących wiadomości o działalności we Lwowie Boya-Zeleńskiego, W. Wasilewskiej, H. Górskiej, A. Wata, Ł. Pasternaka i innych pisarzy.

Podobieństwem we współczesnej prozie polskiej i rosyjskiej poświęcone są trzy rozprawy. Na temat prozy antywojennej w wydaniu literaturach pisze J. S. Kurbatowa, a J. W. Stankiewicz o trylogiach J. Iwaszkiewicza, A. Tolstoja i K. Fiedina. Trzecia praca, napisana przez A. Piotrowską, omawia współczesne tendencje i poszukiwania artystyczne w powojennej prozie polskiej i rosyjskiej. Tom kończy przegląd i opis rosyjskich bibliografii przekładów z literatury polskiej.

Praca autorów radzieckich „Polsko-rosyjskie związki literackie” jest lekturą ciekawą dla miłośników literatury polskiej. Doskonale uzupełnia się ona z wydanym o rok wcześniej polskim tomem studiów „O wzajemnych powiązaniach literackich polsko-rosyjskich” (Wrocław, 1960).

\* Polsko-rosyjskie literaturyjsze związki. Moskwa 1970.

**B**OLESNY okres naiwnego buntu przechodzący dojrzałość i na własność pozytywną nie mamy już często siły i ochoty. Z młodzieńczej wiary, iż prawda jest najsłabszym orężem tych, którzy pozostawili się siły, pozostaje niewiara w sens własnego „stawiania się”. Złudne pragnienie jednostkowego istnienia nie może już nikogo obronić przed „byciem”. „Jesteśmy” więc, i to właśnie określa nasz tragizm i wyznacza jego granice.

Bohater „Ferdynand” szamocze się między istnieniem a byciem. Chce istnieć jako człowiek „nieodrzęzły”, posiadający prawo do własnych myśli i gestów; musi „być” już nawet w szkole, później „jest”. To, co współczesna psychologia społeczna nazywa dążeniem do spontaniczności, znalazło jakże pełny wyraz w powieści Gombrowicza.

Poszukiwanie własnej autentyczności i jej obrona przed naciskiem społeczeństwa, to naczelną wartość pozytywną, którą bohater-narrator pragnie realizować. Obnosi on dumnie swoją „nieodrzęzłość” społeczną, wiedząc, że stanowi ona jedyny jego atut w obronie przed popadnięciem w niewolę schematów. Chce być sobą, a jednak człowiek jest najgłębiej uzależniony od swego odbicia w duszy drugiego człowieka, chociażby ta dusza była kretyniczna. Dlatego też musi zostać poddany koniecznej obróbce przez maszynę zbiorowego życia: „Co ludzie powiedzą? Jeżeli nie chcesz być lekarzem, bądź przynajmniej kobieciarzem lub koniażem, ale niech będzie wiadomo... niech będzie wiadomo...”. Poczucie własnej odrębności musi zostać zniszczone, a na jego miejsce przychodzi „wejście w rolę”. Jest rzeczą ważną przyrzeć się, w jaki sposób skon-

marzeniach poprzestając. Kilkakrotnie próby zbliżenia do młodej pensjonarki kończą się klęską, co pogłębia jeszcze bardziej i tak posunięty daleko kompleks bohatera. Od tego momentu „wpada” on właśnie w masochizm: podglądanie i podłączanie dziewczyny powodują w nim jeszcze większą „niemożność”. Władnie dlatego, że coraz bardziej zdaje sobie sprawę z tego, iż nigdy i niczym nie będzie w stanie jej zaimponować. Męczy się. Naturalnym skutkiem tej sytuacji powinno być natychmiastowe przerwanie owego pasma udręceń. Bohater nasz nie czyni jednak tego i coraz bardziej w masochizm „popada”. Dlaczego?

Niezdolność poczucia samotności i bezsilność musi przecież znaleźć gdzieś ujście. Jednostka „wolna od”, czując się znikoma ze swoim „ja” stojącym przed obliczem obcej i niechętej jej rzeczywistości, czuje nieprzystępność potrzebę ofiarowania czemuś lub komuś swojej wolności: szuka więc kogoś, z kim mogłaby się stopić.

Bohater „Ferdynand” oddaje swoje „ja” dziewczynie: uciekając od wolności traci samego siebie. Popada znowu w niewolę. Ostatecznie mamy tu podporządkowanie się, choć może nieświadomie, innej osobie, w której odnajduje się wartościowość, jaka nam nie została dana. To trudne do zrozumienia zjawisko współczesna psychologia społeczna wyjaśnia w ten sposób, że młotające jednostką konflikty pomiędzy pragnieniem znaczenia a poczuciem małości i bezwartościowości wówczas znikają, gdyż sprowadzanie w ten sposób własnej osobowości niejako do stanu nielstnienia, likwiduje zarazem w jej świadomości uczucie odrębności, a tym samym pozabawia ją jednocześnie pragnień realizacji własnego „ja”, czyli — istnienia.

# Bohater nieupozowany Gombrowicza

Andrzej W. Pawluczuk

struowany przez Gombrowicza model kultury stanowi destrukcyjny czynnik w życiu i rozwoju jednostki.

Ja i Inny — to płaszczyzna, na której rozgrywa się ciągły proces negacji samopotwierdzenia. Koło zostaje w końcu zamknięte. Poza nie ma wyjścia; możemy „być” tylko w tej relacji i tylko tutaj szukać swojego „istnienia”. To, co zastajemy z chwilą przyścia na świat, całkowicie nas determinuje. Bohater „Ferdynand” powraca, gdyż powrócić musi, do punktu, z którego wyszedł. Spróbujmy więc psychologiczną analizą „odkryć” charakter gombrowiczowskiej jednostki.

Mechanizm „nienormalnego” z punktu widzenia dobra społecznego dążenia do indywidualności i spontaniczności, oraz — jako konsekwencja wolności — od owej wolności ucieczka w system rozmaitych powiązań z innymi i „wejście” w różnorakie systemy zbiorowego życia, znany jest psychoanalizie i psychologii społecznej od lat kilkadziesiąt. Nauki te twierdzą, iż między dążeniem do sprawnego funkcjonowania społeczeństwa a pełnym rozwojem jednostki zachodzi zawsze sprzeczność, która w żaden sposób nie może zostać zlikwidowana. O ile bowiem życiem grupy rządzą konieczności społeczne, o tyle życiem jednostki wartości nie zawsze możemy do powołanego zaakceptowania. Dziecko jeszcze się przeciw temu buntuje, człowiek dojrzały wie, że musi być taki, jaki powinien być. Najczęściej jednak i z tego nie zdaje sobie sprawy; nie wie, że nawet jego dążenia i plany są mu narzucone przez rytm codzienności, w jakiej się znajduje. Są obok niego i panują nad nim. To, co mówił Marks o alienacji stosunków ekonomicznych, zostało przeniesione także w sferę stosunków osobistych. Nawet marzenia nasze nie są już naszą własnością. To my jesteśmy ich niewolnikami. O czym, na przykład, marzy ogromna większość obywateli naszego kraju, jeśli nie o tym, aby najwcześniej posiadać A to dlatego, iż posiadanie przedmiotów równoznaczne jest z posiadaniem znaczenia w grupie. Brak indywidualnego „ja” rekompensują rzeczy. Ukazany schemat życia społecznego stworzył „ja” uniwersalne, którym zbiorowość mierzy jednostki, aby je przyjmować lub odrzucać.

Nie ogranicza się to, oczywiście, tylko do sfery posiadania przedmiotów. Od wewnętrznego — gdyż zaakceptowanego przez nas — przymusu wejścia w określony porządek nie jesteśmy wolni w żadnej sytuacji znaczącej dla sprawnego funkcjonowania nas samych w społeczeństwie. Dlatego jesteśmy mili dla ludzi, których nie znamy, gdyż od tego zależy raty za telewizor i nasza kariera. Dlatego studujemy nie to, na co mamy ochotę, ale na co jest zapotrzebowanie, gdyż wartości — nawet wielkie, ale które nie są potrzebne — są niczym.

Dlatego bohater „Ferdynand” skazany jest na „bycie”: istnienie w oczach Innego. Pragnie, aby jego własna totalnie została przez Innego zaakceptowana. To nieustanne dążenie stwarza nieustający konflikt: pożądane wartości nie zostaną nigdy zrealizowane. Co więcej: kierunek walki bohatera ulega zmianie. Nie chodzi już o to, aby być autentycznym. Trzeba walczyć, aby nie być Innym. Świat zobiektywizowanych wytworów ludzkich wziął już w swoje posiadanie człowieka. Człowiek „jest” więc, tak jak rzecz — „jest”. Świadomości indywidualnej nie posiada, czyli nie „istnieje”.

Bunt bohatera „Ferdynand” dokonuje się właśnie w imię istnienia: odrzucenia i obrony własnej, niepowtarzalnej autentyczności. Jest więc ucieczką z niewoli. Ale czy można powiedzieć, że jest jednocześnie pogonią za wolnością?

Szkoła wywołuje w naszym bohaterze głęboką niechęć. Jako miejsce, gdzie odbywa się nieustanny gwałt na jednostkę w imię ocena systemu, który nie tylko, że już tej jednostce nie służy, lecz jest dla niej wręcz szkodliwy, musi pozostać i pozostać poza wszelkimi wartościami pozytywnymi. Jest formą „upupiania”, co dzisiaj nazwalibyśmy raczej „praniem mózgu”. „Tu Syfon, na ziemi, związany, a tu dopiero uświadomiasz go — na siłę, przez uszy! Czy ty nie widzisz siebie w tym? — A trochę dalej: „Ucieć! na swobodę... do parobków!”.

Bezsilność — jak widać — nigdy nad bohaterem „Ferdynand” nie panuje. Dokonuje on ciągłego wyboru między dwiema co najmniej możliwościami. Późniejsze „popadnięcie” w dom państwa Młodzików jest właśnie konsekwencją takiego wyboru.

Ziuta jest obiektem ciągłej obserwacji i marzeń bohatera powieści. Marzeń dlatego, iż on, świadom swojej „inności”, doskonale wie, że musi tylko na

Z naszym bohaterem rzecz ma się podobnie. Ogarniające go uczucie nieznośnej samotności próbuje przezwyciężyć przez uwolnienie się od ciężaru własnego „ja”. Dokonuje tego zmniejszając siebie, czyniąc obiektem swojego życia „coś” znajdującego się „na zewnątrz” niego. Odbiera samemu sobie wszelkie znaczenie jako bytu jednostkowego; ucieka od sytuacji, której nie może znieść, prowadzi go do sytuacji podobnej. Cierpienie moralne, które jest jej konsekwencją, wiedzie zaś do zapomniała o sobie; uwalnia jednostkę od ciągłego poszukiwania siebie. Dążenie do realizacji własnej autentyczności zostaje zlikwidowane. Trochę o „kogoś” zastępuje bardziej czyba nieznośną troską o swoje „ja”.

Jak jednak wythumaczyć fakt, iż bohater „Ferdynand” porzuca tę sytuację, skoro, jak rzekliśmy, wszedł w nią pod wewnętrzny przymus i znalazł w niej, chociaż może nieświadomie, rozwiązanie swoich rozterek?

Otóż więzy masochistyczne nie są celem. Stanowią one ucieczkę jednostki, której dane zostało indywidualne „ja”, pragnące urzeczywistnić swoją wolność. Jednakże jednostka jest za słaba, aby dać owemu „ja” pełną autentyczność, a świadoma tego, popada w lęk i poczucie własnej bezwartościowości. A skoro nie może znaleźć żadnych więzów ze społeczeństwem na drodze takiego działania, które byłoby pożyteczne dla niej i zarazem dla grupy, usiłuje poszukać poczucia bezpieczeństwa w więzach zastępczych. Tak jednak jest, że proces wylaniania się indywidualnego „ja” nie może już zostać odwrócony i człowiek, mając nawet świadomość bezpieczeństwa, nadal czuje się mały i bezbronny. Dlatego też, ciągle szukając, ucieka. Ciekawe, że Gombrowicz wini za ten stan rzeczy kulturę. W stanowisku swoim bliski jest więc temu kierunkowi psychologii społecznej, który reprezentują między innymi K. Horney oraz E. Fromm.

Wydaje się, że w postępowaniu bohatera powieści można odnaleźć także pewne elementy myślenia magicznego. Mianowicie irracjonalną wiarę, iż osoba, z którą się łączy, spełni jego nadzieje na ułożenie sobie życia. Nie musi to być zresztą człowiek. Może to być każda „rzecz”, idea, religia, itp. W przypadku skłonności masochistycznych skierowanych do innej jednostki, nieuniknione jest w końcu dojście do przekonania, że dana osoba niczego „nam właściwie nie „zawładnia”. Tak jest i z naszym bohaterem. Porzuca on kolejno sytuacje, które nie rozwijają, aby w końcu wchodził również w takie same: „Gdyż nie ma ucieczki przed gębą, jak tylko w inną gębę, a przed człowiekiem schronić się można jedynie w objęcia innego człowieka”. Nie rozumie on bowiem, iż niepowodzenie nie wynika z błędnego wyboru miejsc ucieczki, ale jest bezpośrednim skutkiem samego faktu ucieczki.

Bohater powieści Gombrowicza powraca więc, jak wspomnieliśmy wcześniej, do punktu, w którym zaczyna swój bunt. Powraca jednak zupełnie już inny: bogatszy o doświadczenia — klęski. Rezygnuje zatem z walki o własną autentyczność, ale, co jest najważniejsze — jako że stanowi jedną z prawd wiary pisarza — zgody na świat zastany nie daje.

Albowiem człowiek Gombrowicza autentyczności wywalczyć nie może. Nie tylko dlatego, że jest za słaby, ale dlatego, że nawet ucieczka od schematu jest także w końcu jednym ze schematów działania człowieka. Jedynie, co można osiągnąć, to poznać siebie i innych, to znaczy posiadać świadomość nieustającego konfliktu. To znaczy walczyć, wiedząc, że wygrana w tej grze nie istnieje.

Przypomina się tutaj Heidegger, a jego koncepcja istoty ludzkiej pokrywa się w wielu bardzo miejscach z modelem, jaki stworzył Gombrowicz. Życie autentyczne bowiem, tak według jednego jak i drugiego, polega w końcu na odważnym dźwigniu całej tragicznej prawdy o swojej egzystencji. Czyż autentyczność znaczy tyle, co poznanie prawdy życia i siebie. Człowiek autentyczny zaś to taki, który nie poddaje się dokonaniem przez kogoś z zewnątrz określeniu swojego życia, który posiadał świadomość swojej samotności i nieustannie, ale który zarazem nie zaprzestaje wysiłków celem przekroczenia stanu istniejącego.

Człowiek autentyczny to człowiek, który wie, że wszystko, czego dokona, zostanie przekreślone, ale jednocześnie wie, iż tylko wysiłek poszukiwania właściwej formuły życia nadaje jego egzystencji wartość „istnienia”.

# Baśń o pałacu

**N**AGI sad Wiesława Myślińskiego, tak przychylnie a nawet entuzjastycznie przyjęty przez krytykę, dowodził wysokiej świadomości warsztatowej autora. „Pałac”, druga powieść Myślińskiego, przekonuje, że rozwój jego talentu postępuje szybko i osiąga znamioną dojrzałość. Książka zaczyna się jak dobra powieść realistyczna: zarysowuje autor stan oczekiwanego na przyście wojny i zbliżanie się frontu, na wtargnięcie zdarzeń, które mają zburzyć dotychczasowy układ rzeczywistości. Przyspieszona narracja ukazuje coraz to nowe obrazy chaosu, zamętu i zagubienia; w centrum uwagi pozostaje na koniec pałac, pustoszony po ucieczce jego mieszkańców. Czytelnik, przywykły do stereotypu tzw. powieści o wsi, może oczekiwać tu odnowienia problematyki związanej z powojennymi przekształceniami wsi, parcelacji, życia służby dworskiej itp. Mógłby spodziewać się przeprowadzenia historycznych rozrachunków między dworem i wsią, dziedzicem i chłopem, ostatecznego zamknięcia tych rachunków. A jednak czytelnik nie doczeka się „normalnej” powieści. „Pałac” nie idzie torami wyłożonymi przez dotychczasową literaturę, opuszcza tereny łatwych obserwacji socjologicznych, polityki. Wchodzi na tereny mniej podatne do bezpośredniej obserwacji, a jeśli jakaś książka przypomina się w czasie lektury i rozmyślań nad „Pałacem”, to „Dwie dusze” Jakuba Bojki. Ale z innych powodów. Po ucieczce dotychczasowych mieszkańców na terenie pałacu pozostaje tylko jeden człowiek, dawny posłaniec i służący w tym pałacu. Budynek ukazuje mu się w „osłepiającym blasku”, a określenie to pozwalało na razie interpretować postawę bohatera. Pałac jest przedmiotem podziwu, fascynacji i zachwytu. Wyzwała nie pragnienie odwetu, zemsty, zniszczenia, ale raczej zdobycia i opanowania. Oto scena wejścia bohatera do pałacu, początkowo związana z lękiem i niepewnością, a zakończona całkowitym wcieleniem się w nową rolę:

„Ja, Jakub, ja, prawdziwy, i dla mnie te wielkie drzwi staną się tak szeroko otwarte. Dla mnie cały ten pałac pusty, ogromny, i widziałem się już, jak technicznie na pierwszy stopień. Na drugi. A z tych drzwi wychodzą dwa rzędy lokajów w pokornych sukniach, z pomocnymi szelągami w rękach i stoją po bokach. A ja idę potulnie, dostojnie. Idę i idę, jakby schody nie miały końca.

Dokonuje się więc uroczysta intronizacja bohatera, zmienionego i wcielenego w nową postać. Więc motywy przemiany: z chłopu król, Cham staje się Kordianem. Ale przemiana jest tylko częściowa, a właściwie trwa ona cały czas, albowiem bohater powieści nie przyjmuje jednej postaci, ale wiele się w coraz to innych ludzi, otrzymuje coraz to innych partnerów. Przy tym za każdym razem powraca do rzeczywistości, uświadamia sobie prawdziwy stan, w jakim się znajduje.

O co chodzi w tych wszystkich Proteuszowych przemianach Jakuba? Wędrowną jego po wewnątrz pałacu umożliwia mu materializację dawnych pragnień, myśli; to co niegdyś było udziałem „jaśnie państwa”, dostaje się Jakubowi. Każde z pomieszczeń pałacu, zależnie od swej funkcji i przeznaczenia, staje się pretekstem do nowego wcielenia, stworzenia innej sytuacji. W ten sposób w pałacu i wokół niego rozgrywa się na nowo różne zdarzenia, odbywają się bale, zjazdy, polowania, rozmowy. W scenach tych bohater przeżywa to, co było przedmiotem jego skrytych pragnień. Ale rodzaj tych marzeń jest szczególny. Nie są one jednostkowe, bo też i Jakub nie jest tylko osobą, ale niejako reprezentantem i uosobieniem wszystkich chłopów, poniżanych w przeszłości przez pana. Jakub staje się więc panem, dziedzicem, rozmawia z baronami, hrabiami, biskupami, rozkazuje służbie i lokajom, każe sprowadzać sobie do łóżka najpiękniejszą dziewczętą ze służby.

Myśliwski stawia bohatera w sytuacjach typowych, niemal symbolicznych. Jaki jest sens tych wcieleń? Odpowiedź nie jest jednoznaczna. Pałac jest na pewno symbolem wyższego świata, lepszego życia. Pan i jego sytuacja jest przedmiotem zazdrości. Wszystko, co pańskie, jest lepsze i piękniejsze. Nawet ptak na pańskim różni się od swego kolegi klasowego:

O, ten śpiew ptaków w parku był zupełnie inny niż ptaków z lasu, znad rzeki, z sadów we wsi. Jakiś delikatniejszy, uczulniejszy, ten sam, a nie ten.

Bohater jest wyczułony na to różnicę, każdej chwili o tym pamięta i za wszelką cenę stara się stać panem z jego wszystkimi atrybutami.

Sensu powieści Myślińskiego nie można ujmować w kategoriach potocznie pojmanego realizmu. Trudno byłoby na serio przyjmować, że jedynym marzeniem chłopu było stać się panem i dziedzicem. Toteż Jakub przez wszystkie wcielenia przechodzi w marzeniu, odbywa wielki sen kompensacyjny. Gdy we śnie odegra wszystkie role pana, po obudzeniu się wróci na ziemię i zapewne złoży podanie o przydział ziemi z reformy.

„Ale w „Pałacu” zawarł Myśliwski jeszcze jedno znaczenie, może najgłębsze i najciekawsze. To, co widzi i przeżywa, czego w marzeniu doświadcza Jakub, to jakby parada upiorów i duchów (złych i dobrych) przeszłości, które mogą powrócić już tylko we śnie. Po ich zniknięciu Jakub zyska świadomość swojej tożsamości i wartości, bo o nie chodził tu przede wszystkim.

Przedstawienie problematyki powieści odwróciło uwagę od jej niezwykle ciekawego ukształtowania artystycznego. Sam pomysł i plan „Pałacu”, zawężenie pola widzenia, ale pogłębienie perspektywy, sprzyjały wyjaśnieniu problematyki. Przeniesienie zdarzeń w marzenie, w podświadomość, sprawiły, że to wystraszony jeszcze się pogłębia, ale równocześnie następuje ich odczłowieczenie. Czasami odnosi się wrażenie, że „Pałac” jest jakąś wielką balladą napisaną prozą, ze wszystkimi skłkami i cechami balladowego gatunku.

To, co szczególnie w powieści Myślińskiego uderza, to widzenie świata i jego wyraz stylistyczny. Precyzja opisu, wyczerpanie na konkret, a równocześnie poetycka konstrukcja zdania. Refreony, nawroty, powtórzenia, funkcjonalna rytmika i intonacja zdań przekazują wiernie obraz świata, baśniowy i przesycony poezją. Ale to nie jest poezja prozy w stylu Pielacka. Proza Myślińskiego jest bardziej skupiona i zagęszczona, oszczędna i ostra. Jeśli „Nagi sad” mógł wzbudzać jeszcze pewne wątpliwości czy i ostra. Jeśli „Nagi sad” mógł wzbudzać jeszcze pewne wątpliwości czy i ostra. Jeśli „Nagi sad” mógł wzbudzać jeszcze pewne wątpliwości czy i ostra.

Tadeusz Klak

Wiesław Myśliński: Pałac. Warszawa 1970. Państwowy Instytut Wydawniczy.

POSTE RESTANTE

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Ponieważ — jak się dowiadujemy — czytelników wielce zainteresował los Ludmiły i jej nauczyciela, Henryka Kowalskiego, więc dla zastępczej satysfakcji informujemy, że w naszym posiadaniu istnieje jeszcze inne utwory tej samej autorki, która — jak powiada — przy pisaniu prozy „odezuwa jakiś dreszcz i wewnętrzna potrzeba”.

Historia ma tytuł „Bezsilny bunt”, a idzie o meżą zaniedbaną swo-

ją niewiastę, która właśnie buntuje się:

Trzęsącymi się rękami zdejma z ramioneczka ciemnoniebieską sukienkę i zwraca na zasłane łóżko. Poczeka gorączkowo na zasłanie, co miała na sobie. Kiedy tak stała w haleceze z nylonu z rozpuszczonymi woskami koloru hebanu, usiadła do pokoju. Maria spojrzała na niego wzrokiem skrzywdzonego dziecka i ścisnęła usta w gorzki grymas. Seiszył ją, potem uniósł zmarszczone brwi i robiąc nieokreślony gest ręką, spytał:

— Dokąd idziesz? Wzruszyła ramionami. Po chwili pytanie.

— A ty mi mówisz, gdzie chodzisz? Jest różnoprędkość, więc i ja mogę chodzić tak jak ty. Nie chcesz ty iść ze mną, będą inni!

Podszedła do łóżka, aby wziąć sukienkę, ale Broniek był szybszy. Maria w bestialnej wściekłości tupnęła nogą. Widząc, że sukienki nie dostanie, ze szlochem rzuciła się na łóżko. Halczecha odstoniła zgrabnie udo. Smukłe opalone nogi pięknie kontrastowały z jasnym tłem kapy.

Stal nad nią i czuł, że jest mu bardzo drogi i blisko. Teraz dopiero usłodał sobie, jak wielką czyni jej krzywdę. Przecież Maria jest bardzo miła i zadowolona. Kiedy schylił się nad jej towarzyszką, mokrą od łez, czuł, że i jemu tuż przy zachodził głę. Wiedział już, że dziś nigdy nie pójdzie. Ani dziś, ani jutro, ani nigdy. Nigdy i nigdzie bez niej nie pójdzie. Koniec.

Oto co się nazywa zwycięstwem optymizmu nad doświadczeniem!

## Krzyżówka nr 9

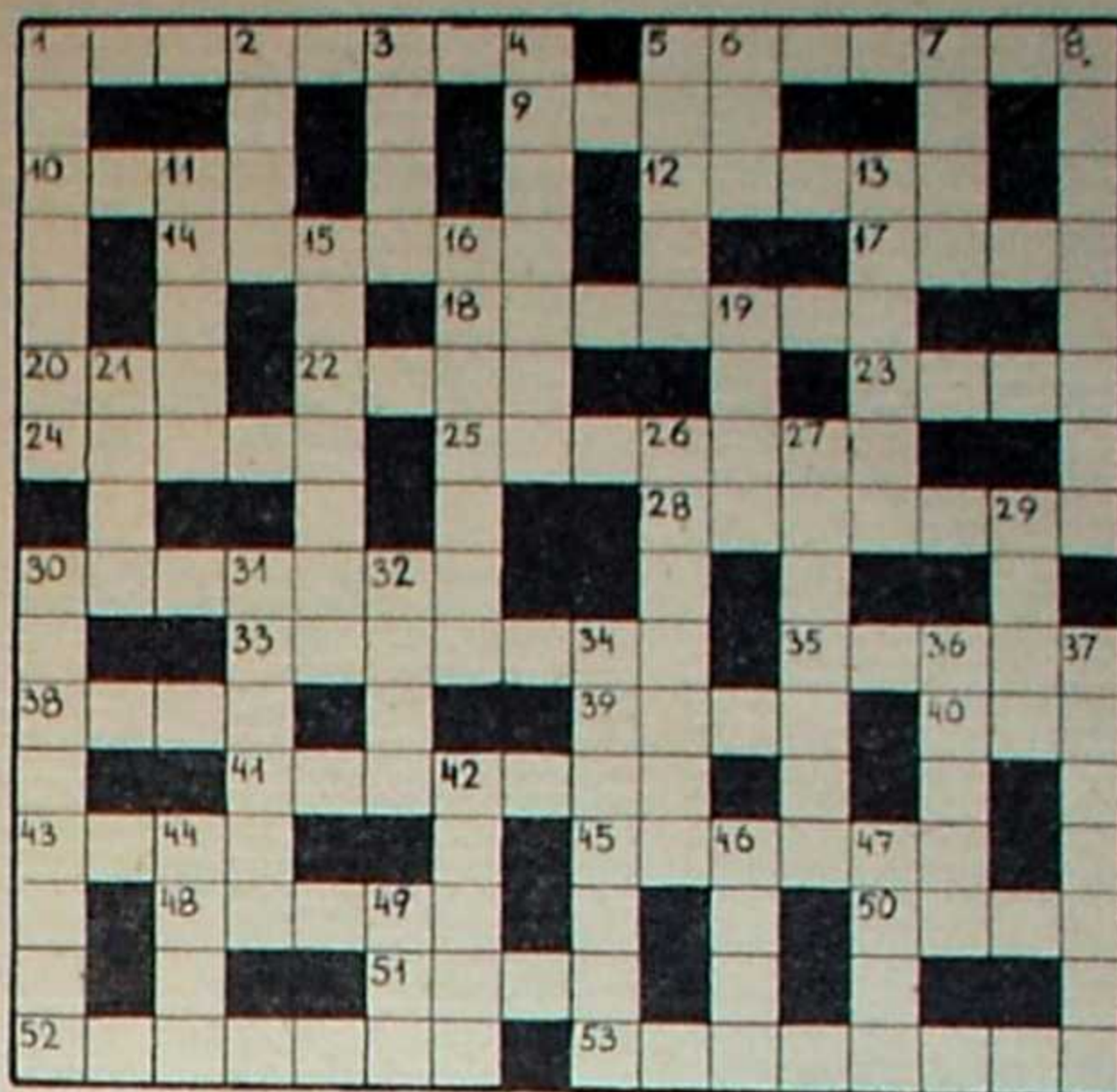
**POZIOMO:** 1. wieśca, 3. kompozytor znanych operetek, 5. oprawa, 15. port na Półwyspie Arabskim, 17. opera Bachmaninowa, 14. przeszedł się z Gustawa, 17. gład z namiotami, 18. malarz prymitywista z Krywele, 22. polski wójt, 22. po nie jechali Argonauci, 23. młarsz, 24. miasto w Lotaryngii z pomnikiem polskiego króla, 5. jezioro na granicy USA i Kanady, 28. najwybitniejszy polski filozof, 29. układ hamulcowy roweru turystycznego, 32. bliskie otoczenie, 33. jar, 34. silski prozek, 35. lipcowa solenizacja, 40. krzyżówka papuga, 41. rodzaj czerwień, 42. drzewo na fladze Libanu, 43. narodził, 48. postępowy pisarz brazylijski, 50. 11.IV.1971, 51. dzielnica wielkiej Warszawy, 52. utwór i postać, 53. rezydentwa władcy mauretańskich pod Grenadą w Hiszpanii.

**PIONOWO:** 1. sztampa, 2. napój alkoholowy, 3. urok, 4. dramat Zygmunta Krasińskiego, 5. rodzina włoskich lutników, 6. zabawa taneczna, 7. domniemany autor jednej z ksiąg biblii, kolajaczy się ze stym wieściami, 8. straszdy, 11. scena kinowa, 13. linia z ludźmi utrzymujących porządek, 15. wyrośnię z niego grube ryby, 16. miasteczko nad Wisłą z kopalnią fosforową, 19. kościół parafialny, 21. kasza i maczka z rdzenia palmy, 25. stolica stanu Georgia, 27. rzeka Birmy, 29. zespół wokalny, 30. wielkie jezioro w Andach, 31. strawa, 32. porcja, 34. wokalny lub instrumentalny utwór w poetyckiej formie, 36. góralskie ognisko, 37. wyniszczenie, 42. rzeka w Gruzji, 44. chroni dom przed opadami, 46 niska roślinność, 47. imię wieśca, 49. odległa przetrzeń.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji: (Lublin, skr. pocz. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 7

Poziamo: „Widnokreśli”, Linde, Lotwa, Opafówka, lina, sto, zjazd, ironista, prymityw, kasta, amarant, Jagodna,



kraje, redakcja, fantasta, Asnyk, ORN, Oran, aspirant, Arago, Yastad, Mickiewicz.

Pionowo: Walca, nów, Rioni, intencja, Lewis, Nlana, etnografia, tradycja, Aldridge, parawan, tran, podkomorzy, karawana, stocznia, maraton, Ajka,

dekagram, frant, napad, Arieck, klosz, rów.

Nagrody wylosowali: Bohdan Biskiewicz, Wrocław, ul. Rejtana 3 m. 5; Jan Kahezuowski, Lublin, ul. Królewska 3 m. 6; Ryszard Staniak, Radom, ul. Zeromskiego 72 m. 8; Irena Partykiewicz, Lublin, ul. Dymitrowa 7 m. 2.

## „Slavia Orientalis“

Od 29 lat wydawany jest przez Komitet Słownoznawstwa PAN w Warszawie kwartalnik naukowy poświęcony filologii wschodniosłowiańskiej, a więc rosyjskiej, ukraińskiej i białoruskiej. „Slavia Orientalis” drukowała już bardzo wiele ciekawych materiałów poświęconych w dużej mierze również związkom literackim i językowym polsko-wschodniosłowiańskim.

Poszczególne numery „Slavii Orientalis” poświęcają się niekiedy pewnym wybranym tematom. Na przykład numer 2 z 1970 roku dotyczył twórczości ukraińskiego pisarza Iwana Kotłariewskiego, w pewnej mierze opracowano tu po raz pierwszy recepcję jego twórczości w Polsce, występujące u niego polonizmy, a więc takie problemy, którymi ukraińska polska w pierwszym rzędzie zajmowała się powinna. We właściwy więc sposób uczcili ukraiński polscy 200-lecie urodzin „ojca nowej literatury ukraińskiej”, przybliżając jego sylwetkę do czytelnika polskiego.

Numer 4 z 1970 roku poświęcony był w głównej mierze tematyce związanej z myślą Lenina. W ten sposób filologowie wschodniosłowiańscy uczcili setną rocznicę jego urodzin.

Najnowszy numer „Slavii Orientalis” (nr 1 z 1971 r.) zawiera artykuły związane z A. Hercenem, myślicielem i pisarzem rosyjskim, wielkim przyjacielem Polaków i polskich dążeń wolnościowych z XIX wieku.

L. Bazyłow omawia tu znaczenie myśli politycznej Hercena dla rozwoju nowoczesnych stosunków między narodami. Hercen w pewnym okresie według określenia Lenina „uratował honor demokracji rosyjskiej”. Po omówieniu istoty jego myśli politycznej autor kończy: „Możemy zawsze do Hercena wracać, a bardziej niż kiedykolwiek wypada to uczynić w setną rocznicę jego śmierci. I chyba zawsze w przyszłości będziemy mogli zwracać się ku niemu, tak jak on zwracał się przez całe życie w jedną stronę — postępu, przyjaźni, w stronę prawdziwego ogólnoludzkiego świata”.

Polemiki wokół Hercena przedstawiła Wiktoria Siłwowska. Hercen był w swoim czasie postacią bardzo kontrowersyjną. Polemizowano z nim ciągle. Jego przedświadczenia i pisma budziły często namietne spory. Interesujące fakty takich polemik i sporów przedstawione dość wyczerpująco podsumowuje autorka słowami wyjętymi z artykułu Stanisława Brzozowskiego: „Hercen jest zbyt wielki, by

potrzebował innego pomnika proez prawdy”.

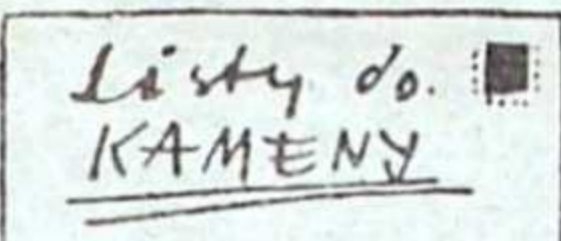
Ryszard Łużny omawia motywy polskie w twórczości A. Hercena, Bohdan Calster — wzajemny stosunek Hercena i Gogola, Stefan Kozak stosunek ukraińskiego działacza polityczno-kulturalnego i historyka M. Drahomanowa do Hercena i kultury polskiej.

Artykuł Hercen w Polsce? Franciszka Sielickiego dowodzi, że „przeszło sto lat już Polacy żywią pamięcią spłacając dług wdzięczności wielkiemu Rosjaninowi, który w imię szlachetnego hasła „Za wolność waszą i naszą” zabrał głos w obronie ciemnionej Polski” i stał się „wielkim symbolem pojednania narodu polskiego i rosyjskiego”.

Bogaty jest dział recenzji i przeglądów, w którym zrecenzowano szereg prac radzieckich i polskich, dotyczących literatury i języka rosyjskiego, ukraińskiego i białoruskiego. Na szczególne uwzględnienie zasługują „Powieści lat milionów” oraz Jerzego Jędrzejewicza „Noce ukraińskie albo roduwó genusza”, głośna opowieść o Szweczcze, która w krótkim czasie doczekała się drugiego wydania.

„Slavia Orientalis” informuje ciekawie i rzeczowo o różnych sprawach filologii wschodniosłowiańskiej z bardzo częstym nawyżaniem do polskich powiazań i analogii. Pismo jest swiadcstwem coraz lepiej rozwijającej się rusystyki, ukralnistyki i białorusystyki polskiej.

M. Lesiów



### Bestialstwo

Zwracam się uprzejmie z prośbą do Zarządu o interwencję w Wojewódzkiej Radzie Łowieckiej w Poznaniu (ul. Libertu 27), do której to Rady zwracam się pisemnie w dniu 11 grudnia 1970 r. z zażaleniem na Kolo Łowieckie nr 22 z Plezawice, a na które do dnia dzisiejszego nie otrzymałam odpowiedzi. (...)

Z wielką przykrością muszę się zorientować z zażaleniem na Kolo w Plezawice, którego członkowie po prostu dla zabawy zastrzelili moją owczarkę podhalańską „Nero”, który oddał się od domu za suką. Poza tym składam zażalenie za bezprawne i karygodne darcie do rąk broni osobie, która nie posiada zezwolenia na broń i nie jest członkiem Kola Łowieckiego. Wypadek ten miał taki przebieg:

W dniu 6 grudnia ub. roku Kolo Łowieckie prowadziło w pobliżu naszych zabudowań gospodarskich odnowy zajęcy; odłoty prowadził łowczy, ob. Galewski Czesław. Po zakończeniu odnowy zauważył dwa psy w polu, sukę i moją „Nero”. 4-letniego owczarka podhalańskiego. Mój pies zaczął być myślistym, niezastępczym w odłowiu. Mimo to strażnik łowiecki, ob. Garstka Władysław, z miejscowości Zawada, posiadający przy sobie broń, postanowił owczarkę zastrzelić. W tym celu oddał swoją fuzję ob. Kubercze Bogdanowi, następnie [dał] fuzję uczestnikowi nagonki, ob. Kazimierzakowi Piotrowi, z Zawady, który nie posiada zezwolenia na broń, ani nie jest członkiem Kola Łowieckiego. Kazimierzak strzelał dwukrotnie do owczarki, aż go zabił. „Nero” był dla mojego gospodarstwa nieocenionym stróżem i opiekunem wieloletnich dzieci, moich wnuczków. Uważam, że gdyby to był myśliwy z prawdziwego zdarzenia, nie pozwoliłby zastrzelić psa stróża i opiekuna (...). Zażnaczam kategorycznie, że mój owczarek

rek nie był szkodnikiem i uważam, że tacy ludzie niegodni są nosić miano myśliwych i posiadać prawo używania broni. Nadmieniam, że myśliwy po zakończeniu odłowów urządził na gonkę na psa wążącego 60 kg; sama waga wskazuje, że nie mógł on być kłusownikiem, skoro sam nie mógł uciec przed podchmielonymi chłupianami pół. Na moją interwencję u sprawców zastrzeżenia psa nie otrzymałem odpowiedzi, że pies był drapieżnikiem...



Proszę uprzejmie wybaczyć mi dość szerokie rozpisywanie się w tej sprawie, ale rozpryczenie moje nie ma granic, tym bardziej, że Wojewódzka Rada Łowiecka z tak absolutną ozygotoscją do niej podszedła. Brak tego psa odczuwam do dziś i nie przedko te strata od się powolowac. Za interwencję z góry dziękuję i, jeżeli to możliwe, uprzejmie proszę o odpowiedź. Do mojej prośby załączam fotografię z moimi wnuczkami i psem...

Gawłowicz Kazimierz

Plezawo ul. Lenartowicza 17

Działo to się 17 stycznia br. o godz. 7 rano. Mój czworonożny przyjaciel wydosłot się z ogrodzenia, chcąc odprowadzić mnie do pracy. Chciałem go

urządzić do domu, lecz pies miał mnie, oddalając się o 43 kroki. W tym momencie padł strzał od myśliwych jacych samiami; było to na publicznej drodze. Na mój okrzyk: nie strzelaj, co robisz? — myśliwy jadąc oddał strzał jeden i drugi, raniąc psa i porostawiając go ranego. Ponieważ nie poznałem, podciął koma i pojechał, porostawiając psa bez dobowia, wującego się z bólu, który męczył się trzy godziny. Myśliwi byli: Kuciński Franciszek z Grabkowa, Zdanowski Feliks i Durma Eugeniusz, obaj z Ostówka w pow. utocławskim. Później dowiedziałem się, że strzelił Kuciński Franciszek.

Proszę więc o interwencję u tej sprawy, ponieważ — opierając się na ustawie z dnia 17 czerwca 1969 r. (Dz. U. Nr 36, poz. 236) — strzał był oddany nieprawidłowo i zaprztał bezczętnostwu na drodze publicznej.

Wudareczyk Czesław

Książka Kęps poczta Czerniewice pow. utocławski

OD REDAKCJI: Publikowane odpisy listów otrzymaliśmy z Zarządu Głównym w PRL. Zamieszczamy je ze względu na fakt, że opisane w nich przypadki nie należą do osobnoionych, przeciwnie — beznamiętny i okrutny stosunek do zwierząt ludzi, którzy są na dodatek członkami kół myśliwskich, zdarza się stanowczo zbyt często.

## »KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WĄSNIŃSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTAJNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ KŁAK, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjne, oraz: MIROSLAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGORSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch”. Redakcja nie wstrzą materiałow nie zamawianych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe BSW PRASA, Lublin, Aljeja Racławiecka 1, Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne Im. PKWN, ul. Unicka 4. Numer łamal WIKTOR MUDA.

Adres redakcji: Lublin, ul. Narutowicza 25. Telefon: sekretariat i naczelny redaktor 235-83, sekretarz redakcji i dział publicystyki 278-25.

Korespondencje zwrócić prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 121; polecenia i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 943. 7.IV.71. 19.443. A-3

Kamena str. 11

10 lat!

Zespół Pieśni i Tańca Wyższej Szkoły Rolniczej obchodzi 10-lecie swojego istnienia. Występował na licznych estradach w kraju (1965 — pierwsze miejsce na ogólnopolskim festiwalu kultury studentek w Warszawie), przed kamerami telewizji oraz na Węgrzech i w Turcji. Obecnie zespół liczy około 10 członków. Prezesem jest Tadeusz Wierzbicki, student V roku Wydziału Rolniczego, kierownikiem artystycznym — Józef Dziak, choreograf — przyznawająca Bohena Niżńska i Zofia Toruń, stronę wokalnemuzyczną dr Bogusław Szot. Wieść

członków zespołu przoduje w nauce, jak np. Joanna Jemioł (V roku), Halina Kozak (II roku), Wiesław Pryszcz (stawa II roku zootechniki), Jan Migut (III roku zootechniki), czy Roman Rezeł (IV roku zootechniki). Największą popularność wśród koleżanek i kolegów ma jednak pochodzący z Sosnowicy student V roku rolnictwa Jan Pogonowski, projektant, kroyer, słowny wykonawca i hafciarz. Znaczną część kostiumów zespołu, znany poza tym jako świetny kucharz i piekarsz (uwaga, panie: kawaleri!), na pomysły rozeszły zespołu wpływa fakt, iż kurator z ramienia władz uczelni, doc. dr hab. Leszek Malicki, sam ongi występował w jego szeregach, a jeden z prorektorów, prof. dr Ryszard Turski, ma za sobą karierę w chórze UMCS. W okresie dziesięciolecia przez zespół przewinęło się około 80 osób. Niektóre z nich są dziś kierownikami lub opiekunami zespołów artystycznych na głębokiej przetrzei.

